

Pisze się!
Agnieszka Szyk



Twórcze
pisanie

część druga

Teksty napisane przez
uczestniczki drugiej edycji kursu

Twórcze pisanie
to bycie bliżej siebie

miastoodczuwanie
Multimiejskość

Anna Jakubiec
Pokusy na zakręcie

Kasia Wiersze

Beata Janicka
Pułapka

Zuza Bugajska
Eksperyment

Zuzanna Matusik
Kretyńskie pączki

BONUS

Anna Jakubiec
Krąg Wiedźm

18 stycznia - 12 kwietnia 2023r.

WSTĘP

Drugi raz miałam okazję towarzyszyć niezwykłym kobietom w ich drodze do kreatywności. Przez trzy miesiące przyglądałam się, jak kursantki sięgają po swoje marzenia, przypominają sobie historie, które od dawna czekały na opowiedzenie. Bez względu na to, na jakim etapie odkrywania siebie była każda z kobiet, ważne jest to, że udało nam się spotkać i przedyskutować tematy istotne dla osoby, która chce wyrażać się twórczo.

Poza realizowaniem programu kursu, do którego przewodnik powstał w poprzedniej edycji, rozmawialiśmy o tym, jak to jest wreszcie usłyszeć swój głos i iść za nim. Co robić, żeby podążać swoją ścieżką na co dzień, a nie tylko od święta. Poruszaliśmy temat nawyków wspierających pisanie, nieocenionej roli rytmu pisania, który możemy osiągnąć dzięki prowadzeniu dziennika. Zastanawialiśmy się nad tym, czym jest pisanie i do czego nas prowadzi. Jak może wyglądać życie, jeśli potraktujemy swoje marzenia o pisaniu poważnie? Jakich życiowych zmian będziemy chciały dokonać, pisząc? Na co się zgodzimy, a co odrzucimy?

Wiele wątków, które pojawiły się podczas spotkań, krążyło wokół kobiecości – tak się składa, że w zajęciach biorą udział kobiety, choć spotkania nie są kierowane wyłącznie do nich. Mówiliśmy o oczekiwaniach, które nadal stawia przed nami społeczeństwo, ale też o rytmie życia, który wyznacza nasze ciało, o cielesnych doznaniach, które kursantki próbowały przemienić w słowa.

Oddaję przed Wasze oczy siedem tekstów, które miałam przyjemność redagować. Pierwszy z nich to opowieść osoby, którą w mediach społecznościowych odnajdziecie pod nazwą **miastoodczuwanie**. Jej opowieść wyrasta z fascynacji miastem, które autorka przede wszystkim czuje. To również niezwykła wizja przyszłości świata i relacji człowieka z otaczającą go przestrzenią. **Anna Jakubiec** z kolei podarowała nam opowieść o lotach szybowcami. Autorka wtajemnicza nas w świat podniebnych podróży, zgrabnie wplatając w nie opowieść o początku przyjaźni kobiety i mężczyzny. **Kasia** opublikowała w antologii serię swoich wierszy, które w niezwykły sposób nazywają subtelne uczucia i wspomnienia. **Beata Janicka** z kolei przedstawiła przenikliwy obraz kobiety, która po długim czasie odnajduje siebie na nowo. **Zuza Bugajska** wniknęła w świat długo skrywanych odczuć, które poprowadziły ją w nieznane dotąd rejony kobiecości. **Zuzanna Matusik** przygotowała filozoficzną bajkę na temat celu i sensu pisania. Wspaniały prezent podarowała wszystkim uczestniczkom kursu **Anna Jakubiec**, która w utworze *Krag Wiedźm* wybiegła w przyszłość i stworzyła dalszy ciąg historii kobiet, które wzięły udział w zajęciach *Twórcze pisanie*. Dla mnie to dowód na wyjątkową atmosferę i więź, którą stworzyliśmy w trakcie spotkań. Bardzo Wam dziękuję!

Moja potrzeba towarzyszenia ludziom w docieraniu do własnego głosu, dodawanie odwagi do realizowania siebie, umacnia się z każdą edycją kursu. Dzięki temu mam poczucie, że odnalazłam swoją drogę, którą kroczę w towarzystwie osób, które również zdecydowały się odbyć podróż. Od zawsze przeczuwałam, że opowieści mnie przywołują, prowadzą i układają moje życie w sensowny wzór. Jeśli pozwolimy sobie je usłyszeć, odwdzięczą się nam po stokroć. Dlatego zachęcam Was do pisania – piszcie, szukajcie pretekstu, bądźcie gotowe i gotowi na pisanie w każdych okolicznościach i w każdym miejscu. Niech pisanie stanie się Waszą codzienną praktyką.

Jeśli czujesz, że chcesz ze mną wyruszyć w podróż przy okazji kolejnej edycji kursu, zapraszam w maju.

Z serdecznymi pozdrowieniami!

Pisze się! Agnieszka Szyk

miastoodczuwanie
Multimiejskość

Miasto pełne zmysłów

Moje ciało w procesie wyzwania od norm społecznych, podświadomie ulega wpływom i naciskom miasta. Miejskie ciałoodczuwanie zaczyna się, kiedy z otwartym umysłem opuszam próg domu. Skręcam na główną ulicę naturalnie zgarbiona i w stanie czujności – przygotowana na nieoczekiwane sytuacje. W mojej pieszej podróży mijam kamienice starszki, szacowną damę pocztę, znajome lipy. Silne i mocne nogi w duecie ze stopami w wygodnych butach przemierzają doskonale znaną im drogę. Pamięć krzywizn i nierówności chodnika jest zapisana w ciele. Bogactwo nawierzchni to pułapka – asfalt, szuter, kostka brukowa, kostka z kamieni polnych, każda z nich potrafi być zdradliwa. Jeden nieuważny ruch i.....

Stuku puku bęc

Geometria chodnika

Fiolet cielesny

Krawężnik niecnota też potrafi sporo namieszać. Tworzy iluzje i fatamorgany. Omijam go szerokim łukiem, bo poruszanie się po nim to jak balansowanie na cienkiej linii. Dla zaawansowanych akrobatów. Ramiona, klatka piersiowa czy głowa odpowiadają na sygnały wysyłane przez innych współtowarzyszy na drodze, wykonując ruchy wahadłowe. Do kontaktu fizycznego nie dochodzi. Granice są nienaruszalne. A jakby tak „przypadkowo” musnąć rękę lub ramię? – myśl zawisa w próżni. Zmysł wzroku poddaje najbliższe otoczenie szczegółowej analizie, zatrzymuje się na szklanym słoiku, który sprawia wrażenie lewitującego w powietrzu czy panu dostawcy, który z głośnym łoskotem wiezie na wózku dzisiejszą dostawę. Oczy przerywają skanowanie pokonane przez liczne i przesywające jasnością światła samochodów. Dochodzę do przejścia dla pieszych – czy to będzie chwila wytchnienia? Nie ma czasu zastanowienia – całą energię skupiam na byciu widzialną. Zaczynam taniec – prawa lub lewa noga do przodu a następnie cofnięcie do tyłu, równolegle te same ruchy wykonuje głowa i lewa lub prawa część ciała. „Zebra” zaprasza do zabawy w klasy lub jeden krok w bok. Docieram do budynku. Schody pokonuje z łatwością, z poręczą jeszcze nie zawarłam bliższej znajomości – to jeszcze nie nasz czas. Na końcu odczuwam doznania dotykowe, chwytając w dłoń neutralną pod względem temperatury kłamkę z plastiku oraz gładką i przenikającą chłodem kłamkę aluminiową.

Miasto geometryczne/matematyczne – pełne liczb i symboli

Skaczę 1-2-3-4-5 plus po białych prostokątach pasów. Przechadzam się alejami pełnymi kół i trójkątów krzyczących stop, uwaga, „NIEWOOOOLNO”. Drzwi otwierają się bezszelestnie lub przyjemnie skrzypią ostro uchylone lub otwarte pod kątem prostym na oścież. W mieście odkrywam matematyczne dyskretne doskonałości. Nieustanne przepływy zbiorów otwartych. Ubywa ze zbiorowości nieodnawialnej drzew miejskich na rzecz grupy martwego drewna kominkowego i meblowego. Niektóre grupy znikają, a przez inne zbiory przechodzi się w naturalnym cyklu życia. Aby wkroczyć do wnętrza budynku, pokonuję jeden -2-3-4 stopnie, które w wielu przypadkach utraciły już swoją idealną geometryczną strukturę.

Miasto ma w sobie wiele linearnych elementów – niekończących się linii ciągłych balustrad lub poręczy, białych płaskich linii drogowych niezachęcających do przekraczania ich granic czy pełnych napięć linii energetycznych. To liczby czy to parzyste, czy nieparzyste, decydują o widzialności budynku. Dlatego walka o numery potrafi być długa i zacięta.

Wypracowany kompromis przyczynia się czasem do uzyskania przez numer statusu „celebryty” i występuje on w licznym towarzystwie całego Alfabetu.

Przemierzam pieszo miasto – gdzieś jest blisko, a gdzieś indziej daleko. Jak zmierzę odległości? A może użyję do tego fragmentów swojego ciała – łokcia lub stopy? A może położę się i odmierzę przestrzeń rozpiętością swoich ramion i rąk lub wybiorę pomiar jedną połową mojego ciała – od szyi do opuszków palców? Moje ciało będzie narzędziem, którym zbadam, jak bliskość zbliża a złość oddala.

Przyroda eksploruje tkankę w mieście przy pomocy swojej organicznej zmysłowej matematyki – idealnie zmienny z różną częstotliwością chód kota, doskonale wycucie i zbalansowanie ciężaru, i rozpiętości bluszczu, i jego wielu pnączy na ścianie budynku, wielokłaczowość, multigałęziowość drzew z mnogością krzyżujących się kątów nachylenia.

Miasto przyszłości (Futuro Tilia)

..21.53

Mam na imię Xela i to jest mój pierwszy wpis w audiodzienniku. Jestem jedną z członkiń społeczności Tilia, która zasiedliła tereny staroulicy Lipowej. Mieszkam w starobudynku, który składa się z wielu różnych pomieszczeń dobudowanych w różnych okresach czasu i tworzy powietrzny wielokształt mieszkalny. Wokół budynku znajdują się przestrzenie jadalne i centra komunikacji międzygatunkowej. Przedmioty odgradzające „płoty” usunęliśmy, ponieważ o wszystkie przestrzenie dbamy wspólnie. Ścieżki i drogi są wyłożone specjalnym materiałem – naturofilem, który zastąpił warstwy szkodliwe i niebezpieczne. Spełnia on potrzeby ludzkie, a zarazem przepuszcza deszczówkę i odżywia glebę. Na terenie wspólnoty znajdują się pozostałości czy ruiny budynków, z których jest pozyskiwany cenny materiał budowlany – czerwona cegła. Archeolodzy architektoniczni przed rozbiórką zeskanowali kształt budowli, umieszczając jego cyfrową odtworzoną wersję w wirtualnej staroulicy Lipowej.

..21.53

Mam trudności z wypowiedaniem słów, zdań na głos, ponieważ jesteśmy społecznością, która znacznie ograniczyła posługiwanie się mową na rzecz porozumiewania dotykowego. Kontakt jednej powłoki cielesnej z drugą to zaproszenie do rozmowy. Ręka stanowi główny element komunikacji. Gilgotanie to śmiech, mocniejszy uścisk to silne emocje, zetknięcie się dwóch palców wskazujących to początek lub koniec rozmowy. Na co dzień działam w grupie międzygatunkowej, gdzie razem z SiTiO, czyli sztuczną inteligencją mającą postać obłoku składającego się z milionów robotycznych cząstek, nawiązujemy komunikację dotykową z istotami międzygatunkowymi. Za pomocą specjalnych nakładek multisensokonektualnych, które nakładam na opuszki palców, siadam blisko moich rozmówców, zamykam oczy i nawiązuję rozmowę z mniszkiem lekarskim, pokrzywą, lipą, bukiem czy dżdżownicą. Dzielą się z nami swoją wiedzą i informują o potencjalnych zagrożeniach klimatycznych. Traktujemy siebie wzajemnie z szacunkiem i uważnością. Wspólnie dyskutujemy, aby wypracować organiczną równowagę we wzajemnym funkcjonowaniu. Pierwsze kontakty z innymi organizmami były bardzo traumatyczne – zbiorowa pamięć tysięcy lat mordów, ludobójstw czy masowego i systematycznego niszczenia jest wieczna i krąży w ziemskim układzie powiązań. Dlatego zostało ustanowione Prawo Wszelkich Istot zawierające podstawowe zasady wzajemnej współzależności.

...21.53

Czy teraz jest lato czy zima? Pory roku uległy zniekształceniu. Dawny kalendarz miesięczny stracił na aktualności. Obecnie jesteśmy w okresie SoMuCa – bardzo dużo ciepłego słońca. Klimat ulega zmianom, chociaż nie są one już takie szybkie i niekorzystne jak 130 lat temu.

Zostały zahamowane przez znaczne ograniczenie konsumpcji, odejście od przemysłowej produkcji i tradycyjnego rolnictwa. Wielkie kataklizmy, do których doszło: trzęsienia ziemi, powodzie i huragany znacznie zmniejszyły liczbę ludności. Żyjemy w społecznościach, w których skupiamy się na symbiozie międzyludzkiej i międzygatunkowej.

....21.53

Ile lat ma moje ubranie? Sama się zastanawiam. Poszczególne elementy pochodzą z różnych okresów. Od 30 lat istnieje zakaz produkcji materiałów do produkcji odzieży. Przerabiamy spodnie, kurtki, bluzki naszych przodków. SiTiO pomaga mi przy łączeniu różnorodnych tekstyliów i zaprojektowaniu wybranego elementu stroju.

....21.53

Oprócz grupy międzygatunkowej, w której uczestniczę, w naszej społeczności działają grupy: inżynierska, edukacyjna, rozwojowa i żywieniowa. Żaden z zespołów nie jest zamknięty, można do nich dołączyć jako słuchaczka/słuchacz albo współuczestniczka /współuczestnik. Poszerzamy wiedzę na każdym etapie istnienia. Ja ostatnio interesuję się szczególnie fofapoeticą. Zgłębiając daną tematykę, wykorzystuję cyfrowe zasoby SiTiO, które pełni rolę biblioteki. Z technologii jesteśmy zobowiązani korzystać w sposób ograniczony – ponieważ zarówno nas ludzi, jak i SiTiO, obowiązuje Prawo Ograniczoności Technologii zarówno w kwestii ilości zbieranych myślobitów, jak i ich prywatności, ale również zakazu produkowania innych urządzeń elektronicznych oprócz SiTiO i czasu dostępu do sztucznej inteligencji.

.....21.53

c.d.n

Miasto rzeczy

Jestem we śnie – nibyśnie.

Słyszę przeciągły pomruk samochodów, drzewa szeleszczą i szepczą słowa. Ludzie tańczą, śpiewają i czytają książki.

Stoję przed fasadą budynku.

– Nie spuszczasz ze mnie wzroku – słyszę czysty i jakby z oddali głos.

– Podziwiam bogactwo szczegółów i miękką ceglastość twojej fasady – odpowiadam, szukając jednocześnie rozmówcy.

– Jestem już stara, jestem ostatnim fragmentem dawnej pięknej świetności. Zajrzyj w moje oczy – okna. Co widzisz?

– Nic nie widzę. Pusta przestrzeń. A czego się boisz?

– Mój lęk się spełnia – jestem zapomniana i niewidzialna. Jestem iluzją pewnej ciągłości – głos milknie powoli.

Obrazy migają nieustannie przed oczami jak w kalejdoskopie.

Czuję pod stopami wodę i słyszę chłopotanie. – Nie depcz po mnie !!! – krzyczy kałuża.

– O przepraszam, już się odsuwam.

– Ludzie po mnie chodzą, dzieci uwielbiają wrzucać kamienie lub wskakiwać i brodzić. Ale to ja jestem panią swojego istnienia. Pojawiam się i znikam – kałuża opowiada, śmiejąc się perliście.

– Patrę z ciekawością w twoje odbicie, aby zobaczyć obraz miasta. Kształty zakrzywione, kolory zaciemnione, postaci falują i wirują ... – zanurzam się w opisie – szepczę cicho – Czego pragniesz?

– Mój żywot jest ulotny, jest we mnie pełno sprzeczności – jestem złożona z trucizn i chemikaliów, a rodzi się we mnie życie. Pragnę wsiąknąć w życiodajną glebę, połączyć się

w jedność i krążyć w czarnym krwiobiegu. Dotrę do głębi, wznienę dzikie powstanie i rozbijemy skostniały beton !!!!!

Fragmenty twarzy, zdarzeń, przedmiotów układają się w skomplikowane pełne absurdu wzory.

Słyszę metaliczny odgłos wrzucanego listu do skrzynki pocztowej. Skrzynka pęcznieje od słów formalnych, ustawowych, pustych, uczuciowo zimnych. Zadaję pytanie może samej sobie?

– O czym marzysz?

– Marzę, że nie tylko przyjmuję słowa, ale również oddaje moc w nich zaklętą – opowiada bulgotliwie skrzynka.

– Co chciałabyś wysłać w świat?

– Myśli jak motyle – ulatywałyby słowa – „zatrzymaj się na chwilę – zamknij oczy”

„przytul się do siebie”

„rozejrzyj się wokół”

– Stanę obok Ciebie i razem będziemy rozdawać dobro, ciepło, radość i miłość !!!!!– krzyczę głośno.

Wielobarwna mozaika znów zaczyna się kręcić coraz szybciej i szybciej, a ja tracę oddech i zamykam oczy.

Trzymam w ręce klamkę, naciskam, ale nie mogę wejść. Furtka nie chce mnie wpuścić.

– Granica jasno określona, rozdziela to, co prywatne od tego, co publiczne, to, co znane od nieznanego – zgrzytliwie i stanowczo informuje rozmówczyni.

– Dlaczego się opierasz? Dlaczego stawiasz opór? – zadaję głośno pytanie

– Obcy to inny. Nie znam Cię. Czy mam się otworzyć przed Tobą i wpuścić Cię do intymnych przestrzeni? – wypowiada słowa pełne wątpliwości.

– Mimo różnych powłok – ja skóry, a Ty metalu, łączy nas niedostępność i nieufność, zamknięte chronimy tego, co dla nas ważne – stwierdzam ze smutkiem.

Miasto kobiece

Idzie kobieta przez miasto

bez wieku – dla niej nie ma to znaczenia

bez tożsamości – wolna i nieokreślona, kto sprawował nad nią władzę czy do kogoś należy?

rozgląda się zaciekawiona na wszystkie strony

łamie niepisany porządek – chodnik jest przecież taki nudny – dlaczego by nie iść

krawężnikiem lub białym zygżakiem na przystanku autobusowym?

Idzie kobieta przez miasto

przelotnie patrzy w swoje odbicie w witrynie sklepowej – „cześć kochana”

każda pozycja ciała jest naturalna – zgina je tak jak czuje – może przykucnąć lub oprzeć się o ścianę

zostawia za sobą to, co uwiera i uciska

stawia granice słowno-cielesne w przyjaźni i miłości

Idzie kobieta przez miasto

rozdaje innym przechodniom swoją poezję i uśmiech

zdziwione, karcące i przywołujące do porządku spojrzenia kłują, ale nie ranią

wie, co czuje i do kogo czuje – ekscytację, pożądanie, ciepłe uczucia

pielęgnuje małą dziką dziewczynkę

Idzie kobieta przez miasto

i dzieli się momentami dla niej ważnymi czy trudnymi

wie, że czasami wszystkiego nie udźwignie i prosi o wsparcie a nie o radę i ocenę czasami zatrzyma się w swojej wędrówce i zmieni kierunek – czy wie dokąd zmierza

Miasto pełne magii

Miastem rządzą pokusy („okazja, okazja marchew za 1,5 zł!!!!”), krwawe zemsty („jeszcze mnie popamiętasz gnojku!!!!”) i nieskończone manipulacje („kupię loda jak będziesz grzeczna”). Słowa zaklęć rzucone w ciszy lub ofierze w oblicze („kurza twarz”). Miłosne wyznania pełne magii, szczere, prawdziwe, dziecięce odbijają się echem od ścian. Mieszkańcy kupują codziennie czarodziejskie słowa – zdrowie, radość, szczęście. Niestety, nie zażywają ich oddzielnie, a tworzą miksturę, doprawiając ją goryczą, zaciętrzewieniem, smutkiem czy zniechęceniem. Użycie magii jest powszechne, lecz nieświadome – przywoływanie dobrych wspomnień na żądanie, wzniecanie ognia pożądania lub osiągnięcia błyskawicznego poziomu złości. Obrazy magiczne nieustannie wirują w umysłach mieszkańców – krain przemierzonych, słów wypowiedzianych czy miłości przeżytych. Czarodziejskie są też chwile namiętnego pocałunku, roześmianych oczu czy ciepłego serdecznego uścisku.

W rzeczach z pozoru martwych i bezkształtnych pulsują nieznanne moce. Duszki ukryte w obumarłej trawie, w popękany murze czy w wyschniętej fontannie urządzają ekstatyczne tańce na dachach kamienic i budynków. Dołączają do nich porzucone nadzieje, rozdeptane marzenia czy niechciane idee. Szybkie tempo wybija im wiatr – sz, szu, sz, szu, sz, szu, sz, sz. Powietrzne hulanki wzniecają ogień twórczej inspiracji rozpryskujące się na miliony iskierki. Wnikają one w dusze mieszkańców, gdzie pozostają chwilowo uśpione.

Anna Jakubiec

Część opowiadania *Pokusy na zakręcie*

Emil punktualnie zadzwonił, że czeka na nią przed domem. Zuzanna już była gotowa, więc wzięła tylko butelkę wody do plecaka i zamknęła za sobą drzwi. Była podekscytowana perspektywą tego sam na sam, w przestworzach, z Emilem. Nie bardzo wiedziała, czego oczekuje po tym locie.

Dojechali na lotnisko zaraz po ósmej. Zuzanna zobaczyła rozległą, płaską łąkę, której końce ginęły gdzieś na horyzoncie, z krótko przystrzyżoną trawą. Na parkingu przed szarym budynkiem stało już kilka samochodów. Z pobliskiego, metalowego hangaru wyciągnięto już prawie wszystkie szybowce. Leżały na jednym ze skrzydeł jak wielkie ptaki odpoczywające przed poderwaniem się do lotu. Na ławce przed hangarem siedzieli piloci, którzy przyjechali tu na lotnisko wcześniej rano, żeby przygotować sprzęt. Siedzieli w cieniu, oszczędzając siły, czekając na lotne warunki. Zuzanna nieśmiało rzuciła dzień dobry. Emil przywitał się ze wszystkimi, podając każdemu rękę. Był przy tym bardzo milczący. Nie widział potrzeby, żeby zagadać o pogodę czy ogólnie, co słychać, więc inicjatywę przejęło siedzące towarzystwo.

– Tak z żonką, z samego rana? – padło pytanie z ławki.

– Eee... z koleżanką – odpowiedział zaskoczony pytaniem.

– A koleżanka ma jakieś imię? – kolejne pytanie też zaskoczyło Emila.

– Ma na imię Zuza i umie mówić za siebie – Zuzanna odgryzła się na taką zaczepkę.

– Może koleżanka Zuza chce usiąść? – Tomek poderwał się z ławki.

– Nie, dziękuję – odparła – muszę się porozglądać, pierwszy raz jestem na lotnisku. Tu wszystko jest dla mnie takie interesujące. A może trzeba coś pomóc?

Na te słowa, jak spod ziemi, pojawił się jeden z instruktorów i wybawił Emila z konieczności prowadzenia konwersacji. Jego introwertyczna natura buntowała się, gdy musiał rzucać jakieś powierzchowne uwagi. To dlatego towarzystwo na lotnisku uważało go za odludka. Do Zuzanny już się przyzwyczaił, a że była bardzo pomocna przy wdrażaniu oprogramowania, to coraz częściej mu na jej opiniach zależało. I zaczynał lubić jej towarzystwo, bo Zuzanna umiała też milczeć, kiedy żadne z nich nie miało nic interesującego do powiedzenia. A ten pomysł z lotem przyszedł mu do głowy, żeby jakoś jej podziękować za godziny nadliczbowe, spędzane codziennie przy wdrażaniu.

– Kto jedzie po samochód do lin? – instruktor rzucił pytanie.

– Mogę ja – Emil wyraził gotowość do pomocy.

– Emil, to masz klucze do warsztatu i jak weźmiesz samochód, to weź ze dwa szybowce do kwadratu – polecił siwy instruktor, z małą bródką.

– Co będziesz robił? – zapytała, kiedy odebrał pęk kluczy.

– Idę po taki specjalny samochód i będziemy ciągnąć szybowce na start, chodź ze mną jak chcesz – odpowiedział.

– Pewnie, że pójdę, to wszystko jest tutaj takie ciekawe, mam nadzieję, że mnie będziesz we wszystko wtajemniczał – popatrzyła na mężczyznę z zachwytem.

– Taki mam zamiar, może latanie na szybowcach cię zainteresuje – odparł i uśmiechnął się jak mały chłopiec, który właśnie coś zbroił.

Zuzanna jednak nie zauważyła, żeby jego oczy się śmiały. Znowu były jak gorzka czekolada, ale żadnych emocji w nich nie było widać.

Po wyciągnięciu samochodu z warsztatu podjechali pod dwa szybowce, które na bokach miały namalowane nazwy Puchacz i Bocian. Szybko podczepiono liny do zaczepu, z przodu wielkich nosów i podpięto z tyłu samochodu. Zuzanna usiadła w samochodzie obok Emila i obserwowała jak młodzi ludzie ustawiają się przy jednym ze skrzydeł, podnoszą je

do góry i podtrzymują. Emil krzyknął jeszcze do nich, że rusza i powolutku zaczął napinać liny. Samochód zaczął toczyć się bardzo powoli, a za nim sunęły dwa skrzydlate stwory jak w kluczu żurawi za przewodnikiem. Przejechanie przez szerokość lotniska zajęło dobre kilkanaście minut. Emil parę razy oglądał się do tyłu, czy liny są odpowiednio napięte i czy szybowce nie zajeżdżają sobie drogi. Wreszcie zatrzymał się w pobliżu żółtego samochodu i krzyknął, że można wyczepiać szybowce. Podbiegło jeszcze kilka osób, wyczepiono liny i obrócono szybowce w kierunku pod wiatr, który wskazywała zatknięta obok żółtego samochodu flaga. Zuzanna zauważyła ułożoną olbrzymią, białą strzałę, w kierunku, jak się domyśliła, planowanego startu. Emil oddał samochód, żeby ten pojechał po liny, przywitał się ze wszystkimi i zameldował się u kierownika lotów.

– Emil, to jak przyjadą liny, to weźcie sobie spadochrony i pomóż swojej pasażerce go ubrać, a potem podczepcie Bociana. Na razie termika jest słaba, to jak chcesz to zróbcie ze dwa loty po kręgu, za wyciągarką – poinformował go kierownik lotów, wpisując do zestawienia w tablicy Emil Tross, w rubryce pilot, a Zuzanna Opolska, w rubryce pasażer.

– Emil, kiedy ty w końcu zrobisz tego instruktora? – Leszek zainteresował się postęпами kolegi.

– Brakuje mi jakichś dwóch godzin na dwumiejscowym, bo te dwieście lądowań i sto pięćdziesiąt godzin dowódczych już mam.

– No to chłopie kończ te loty, bo przydałbyś się do szkolenia, mamy kilku nowych chętnych, a instruktorów brak.

– A teraz przygotuj swoją pasażerkę do lotu.

– Zuza, jesteśmy teraz w kwadracie, czyli miejscu zarządzania lotami – Emil zaczął swoją opowieść – Leszek jest kierownikiem lotów i on przez radio będzie podawał informacje o kolejności startów i lądowań szybowców, a do wyciągarki o gotowości szybowca do startu, żeby ciągnąć linę. Wyciągarka to takie wielkie urządzenie naziemne, które służy do wynoszenia szybowców w powietrze. Z wyglądu przypomina duży traktor, który ma dodatkowo bęben na wyposażeniu. Lina, która nawija się na bęben wyciągarki, podczepiana jest drugim końcem do szybowca. Przy pomocy tej liny w ciągu kilkudziesięciu sekund będziemy w powietrzu, a potem ją wyczepimy i szybowiec będzie leciał sam.

– Teraz ubierzemy się w spadochrony. Weź ten czerwony i załóż tę uprząż tak jak plecak, ja pozapinam ci te klamry z taśmami. Nigdy nie ruszaj tego metalowego uchwytu, bo to uchwyt wyzwalający otwarcie spadochronu. Obyś nigdy nie musiała go używać.

Emil podociągał wszystkie taśmy w spadochronie Zuzanny i sam szybko ubrał swój.

– To chodź, przedstawię ci Bociana.

– To jest szybowiec dwumiejscowy Bocian – poinformował, kiedy podeszli bliżej. Najlepszy szybowiec do szkolenia podstawowego, ma jednak ograniczenia i nie można na nim kręcić akrobacji, czyli takich różnych figur wysoko w powietrzu. Ma dwie kabiny. W I-szej ma przyrządy takie jak wysokościomierz, wariometr czy busola. Ma też hamulce, czyli takie płyty, które wysuwają się ze skrzydeł, jak trzeba zmniejszyć prędkość podczas lądowania. Zamiast kierownicy ma drążek. To jest to coś, co wystaje z podłogi w obu kabinach – zerknij tutaj, wskazał odchylając limuzynkę. To co podniosłem, czyli tę szklaną kopułkę, to limuzynka, w drugiej kabinie jest odsuwana.

– A co to ta termika i dlaczego jest słaba? – Zuzanna zadała nurtujące ją pytanie.

– Popatrz w niebo – Emil uśmiechnął się nieśmiało – i co widzisz?

Zuzanna zadarła głowę do góry i popatrzyła na błękit nad nią, tu i ówdzie zaznaczony kłaczkiem białej chmurki.

– Widzę niebieskie niebo z małymi białymi obłoczkami i słońce, na które nie można patrzeć.

– No właśnie, nie ma jeszcze pięknie wypiętrzonych chmur rodzaju Cumulus, które są nad tak zwanymi kominami, które pozwalają szybowcom wznieść się wyżej, żeby polecieć dalej. Te kominy to nic innego jak takie prądy wznoszące ciągnące szybowiec do góry. I to jest właśnie

termika. Jak jej nie ma, to możemy latać po kręgu, czyli nad lotniskiem, jak nas lina wyciągarki wyciągnie na pewną wysokość. Ale dalej od lotniska już nie, bo szybowiec delikatnie opada, przecież nie ma silnika.

– A ta termika robi się potem, żeby można było polecieć dalej? – zapytała Zuzanna, nie do końca zadowolona z odpowiedzi Emila.

– Jak trochę poczekamy, to słońce zrobi całą robotę. Tam gdzie ziemia ogrzeje się najmocniej, najintensywniej ogrzeje się od niej powietrze, które zacznie unosić się do góry w postaci wznoszącego, wirującego słupa cieplejszego powietrza i to będą nasze kominy. Ale to powietrze z czasem się ochładza i tworzą się Cumulusy, czyli takie chmury, które wyznaczą nam gdzie będziemy mogli nabrać wysokości do dalszego przelotu.

– Zuza, pakuj się do Bociana, bo zaraz inni będą chcieli latać i musimy im oddać szybowiec.

Emil odsunął limuzynkę w II-giej kabinie i pokazał jej, że ma tam zająć swoje miejsce jako pasażer. To wcale nie było takie łatwe. Ciężki spadochron ciągnął ją do ziemi i nie znalazła oparcia dla rąk, żeby przełożyć nogi przez burtę i usiąść na siedzeniu. Emil pośpieszył z pomocą. Pokazał jej, gdzie może wstawić lewą stopę w burcie szybowca i opierając się ręką na jego ramieniu, podciągnąć się, przełożyć najpierw jedną nogę, a potem drugą i wsunąć się na siedzenie. Wreszcie się udało, ale wymagało trochę gimnastyki. Potem pomógł jej zapiąć pasy i zasunął limuzynkę. Sam sprytnie wskoczył do I-szej kabiny i zapiął pasy. Zamknął limuzynkę i zabezpieczył.

Siedziała przypięta do niezbyt wygodnego, twardego siedzenia i czuła się jakby ktoś założył jej sztywny pancerz. Do tego między jej nogami tkwił, na razie nieruchomo, drążek, który jak się domyślała, będzie zmieniać swoje położenie w czasie lotu, ocierając się o jej uda. Nie takie pieszczoty miała na myśli. Ale i tak nie oddałaby tej chwili za nic.

– Sam na sam z Emilem w powietrzu, to dopiero będzie przeżycie – pomyślała.

– Lina południowa, podczepiaj – usłyszała z kwadratu.

Podczepiono linę do dolnego zaczepu szybowca i sprawdzono przez kilkakrotne szarpnięcie linką. Byli gotowi do startu. Jeden z kolegów podniósł końcówkę skrzydła Bociana, zabezpieczając ją przed upadkiem na ziemię, przy starcie. Emil podniósł rękę, pokazując, że jest gotowy. Zuzanna usłyszała przez radio, jak kierownik lotów mówi do wyciągarki NAPRĘŻAJ i po chwili poczuła lekkie szarpnięcie, po czym szybowiec zaczął się przemieszczać. Jeszcze tylko usłyszała RUSZYŁ, RUSZYŁ, RUSZYŁ i ziemia zaczęła uciekać do tyłu.

Szybowiec zaczął coraz bardziej przyspieszać i wznosić się pod dużym kątem, że Zuzannie aż zapało dech w piersiach. Niewidzialna siła wciskała ją w oparcie siedzenia. To nie była wygodna pozycja. I serce zaczęło dawać o sobie znać, słyszała wyraźnie jego przyspieszone bicie.

– Aaaa... Emil długo tak będziemy lecieć? – krzyknęła, trochę przerażona.

– Aż się wyczepimy na jakichś trzystu metrach – odparł spokojnie.

– A ile nam to zajmie?

– Tak piętnaście do dwudziestu sekund.

– Dobrze, że tak krótko – pomyślała, nieco uspokojona.

W szybowcu było bardzo cicho i tylko szum rozcinanego powietrza potwierdzał, że nie są w próżni. Nagle poczuła, że żołądek podskoczył jej do gardła, a szybowiec na chwilę jakby zawisł w powietrzu. Usłyszała LINA WYCZEPIONA.

– Zuza wyczepiliśmy się i robimy pierwszy zakręt w lewo. Mamy trzysta pięćdziesiąt metrów – usłyszała głos Emila.

– A cały lot ile potrwa, ten wokół lotniska? – zainteresowała się, już zupełnie spokojna.

– Tak około pięciu minut.

– To króciutko – powiedziała trochę zmartwiona, bo tym sam na sam z Emilem chciała się cieszyć jak najdłużej.

– Poczekaj, jak się obudzi termika, to polatamy dłużej, chyba ci się nigdzie nie śpieszy.

Zuzanna popatrzyła na błękitne niebo i pomyślała, że z Nim mogłaby tak latać i latać. Widziała przed sobą głowę mężczyzny z kręconymi, krótko przystrzyżonymi włosami i poczuła jak ogarnia ją fala czułości. To ją, starzejącą się kobietę, zabrał na podniebną wycieczkę. Może to coś znaczy.

Przez szkło limuzynki patrzyła z zachwytem na obrazy, które przesuwwały się przed jej oczami. W oddali widać było zabudowania ich miasta. Wieżowce jak pudełka zapalek świeciły białą swoich ścian, a potem były tory i domki jak dla lalek poustawiane wśród pól i łąk. I drogi jak zapomniane sznurówki, porzrucane przez niezbyt porządnego właściciela.

– Zuza jesteśmy przed czwartym zakrętem – usłyszała – zaraz będziemy podchodzić do lądowania.

– Bocian 1 na prostej do pasa jeden jeden – Emil poinformował o swojej pozycji.

– Bocian 1, jedynka dla ciebie – usłyszała w odpowiedzi.

Szybowiec powoli obniżał swój lot, by po chwili płynąć nad ziemią, a za moment toczyć się po zielonej łące, by zatrzymać się w pobliżu białej strzały. W czasie lotu nad ziemią i na dobiegu Emil utrzymywał skrzydła w poziomie, a kiedy szybowiec się zatrzymał, pozwolił, żeby prawe skrzydło powoli opadło na ziemię.

– Jesteśmy na ziemi, jak się czujesz? – Emil uchylił swoją limuzynkę, żeby wpuścić trochę powietrza.

Słońce grzało coraz mocniej i przez szkło czuło się jego ciepło coraz wyraźniej. Na niebie zaczęły pojawiać się Cumulusy, jeszcze niewielkie, ale z każdą chwilą nabierając masy i tworząc różne zabawne kształty, a to psa w skoku albo smoka ziejącego ogniem.

– Dobrze, tylko za krótko było, nie zdążyłam się nacieszyć widokami – odparła – a moglibyśmy zrobić następnym razem pierwszy zakręt w prawo, a nie w lewo jak teraz?

– Zaraz zapytam przez radio, jak nam pozwolą, to tak polecimy.

– Kwadrat, czy możemy zrobić prawy krąg, Bocian 1? – usłyszała pytanie.

– Bocian 1 możesz, tylko obserwuj czy coś nie leci z zachodu – padła odpowiedź.

– Tak zrobię, Bocian 1 – Emil potwierdził zgodę.

Byli drudzy do startu za wyciągarką i mieli zgodę na lot po prawym kręgu. Przed nimi zamierzał startować dwumiejscowy Puchacz, bo inne szybowce czekały na termikę, która pozwoli im dłużej utrzymać się w powietrzu. Samochód z linami już było widać i za chwilę Puchacz dostał swoją linę, linę południową.

Czekali ze spadochronami na plecach, osłaniając się skrzydłem Bociana i Zuzanna miała okazję obserwować, jak Puchacz wznosi się stromo do góry, wyżej i wyżej, po czym opuszcza nos i za chwilę wyczepiona lina, tańcząc jak baletnica, na małym spadochroniku ląduje na ziemi.

– Zuza wskakuj, teraz my – Emil przysunął się do burty szybowca, umożliwiając Zuzannie oparcie się na jego ramieniu i wsunięcie się do II-giej kabiny, po czym pomógł jej zapiąć pasy. Sam wskoczył do I-szej, pośpiesznie dociągając taśmy pasa brzuszego.

Lina północna została podczepiona, sprawdzona, a limuzynki zablokowane. Jak poprzednio ktoś z obecnych w kwadracie podniósł końcówkę skrzydła, a Emil podniósł rękę, że jest gotowy. Lina po komendzie NAPRĘŻAJ zaczęła ciągnąć Bociana.

Rozpoczęli swój drugi lot, pnąc się w górę. Zuzanna już nieco oswoiła się z tym stromym lotem i po kilkadziesiąt sekundach usłyszała LINA WYCZEPIONA. Szybowiec był wolny, a oni wchodzili w pierwszy zakręt. Coś się jednak zmieniło w powietrzu, białe chmury jak bita śmietana zaczęły wyrastać na brzegu lotniska.

– Zuza, ale mamy fart – usłyszała zadowolony głos Emila, mamy metr do góry, o a teraz półtora, a nawet dwa.

Zuzanna zauważyła, że nie lecą po prostej, ale zaczynają zataczać kręgi, z przechyleniem. Jedno ze skrzydeł, to po jej prawej stronie, ciągle wisiło w dół.

- Emil, a co to znaczy? – Zuzanna nie była pewna czy to dobrze czy źle.
- Zuza mamy komin, wznosimy się i będziemy mogli dłużej być w powietrzu, mamy już czterysta metrów i dalej się wznosimy – takich emocji w głosie Emila nie spodziewała się usłyszeć, widać był naprawdę zadowolony z tej sytuacji.

Krążyli w tym kominie zataczając kolejne koła. Zuzanna nie mogła się skupić, jak poprzednio, na zauważanych szczegółach na ziemi, bo czuła lekki zawrót głowy. Mimo wszystko zobaczyła biały budynek kościółka, schowany w zieleni drzew, nieopodal lotniska i zabudowania jakiejś miejscowości nieco dalej z wyraźnie odcinającym się, na tle zieleni, wiatrakiem. W dole widać była jakaś szersza droga, ginąc na horyzoncie. Zuzanna pomyślała, że to pewnie droga ekspresowa, która biegła od ich miasta na południe. Przez chwilę widziała też pod nimi skrawek lotniska, dużą łąkę, która z góry wyglądała jak wielka żółto-brunatna piaskownica. I tylko na jej brzegu stał żółty punkcik samochodu, w kwadracie. Nie było też widać żadnych szybowców, które wcześniej odpoczywały obok.

- Widać wszystkie odleciały już w powietrze – pomyślała.
- Zuza, zobacz, Puchacz nad nami też lata w tym kominie – usłyszała głos Emila.
- A my się z nim nie zderzymy? – spytała nieco zaniepokojona, wydawało się, że jest całkiem blisko.
- Zasada jest taka, że trzeba utrzymywać pewne odległości i krążyć tak jak ten pierwszy, w tym przypadku Puchacz – poinformował Emil.
- O, zobacz, kolejny szybowiec jest pod nami, a my już mamy prawie siedemset metrów – Emil udzielał kolejnych informacji.

Zuzanna popatrzyła na niebo, gdzie jak okiem sięgnąć wyrosły chmury, których wcześniej tu nie było. Wyglądały jak puchate kopce bitej śmietany na tle błękitnego nieba. Całe niebo dookoła usłane było takimi tworami, które co chwila zmieniały swoje kształty.

- Teraz zrobimy przeskok do następnego komina – Emil zmienił kierunek lotu i po chwili znaleźli się pod kolejną chmurą.
 - E, tutaj jest tylko metr do góry – stwierdził – to szukamy dalej.
- Zuzanna zauważyła, że znowu zmienili kierunek i zaczęli krążyć pod kolejną chmurą.
- Tu jest w porządku, mamy dwa metry do góry.
 - Emil, to jak jest ta termika, jak mówiłeś, to można robić takie spacery pod chmurami? – spytała.
 - Tak, masz rację, to coś w rodzaju spaceru, od komina do komina, od chmury do chmury. Dzięki termice zyskujemy wysokości, dłużej możemy utrzymywać się w powietrzu.

Zuzannie coraz bardziej podobało się to latanie, ale największą przyjemność sprawiało jej to, że ten lot był z Emilem.

- Szkoda, że fotele w szybowcu nie są obok siebie – pomyślała.

Zuzanna spojrzała na zegarek i stwierdziła, że są już w powietrzu jakieś pięćdziesiąt minut. To zdecydowanie był dłuższy lot niż poprzedni. Teraz wyraźnie widziała zalew pod miastem, kiedy robili kolejne koło. Zabudowania porzrzuconych dookoła lotniska miejscowości też były dużo lepiej widoczne z tej wysokości.

- Mamy tysiąc metrów – poinformował Emil – wracamy na lotnisko, niech inni też polatają.
- Zniżali się powoli, tak żeby przed czwartym zakrętem mieć dwieście metrów. Po dłuższej chwili usłyszała głos Emila, a potem Leszka z kwadratu.
- Na prostej do jeden jeden Bocian 1 – Emil podawał swoją pozycję.
 - Jedyńka dla ciebie, na południową stronę, tylko się pośpiesz, bo za tobą podchodzi do lądowania Jantar.
 - Jedyńka, na południową stronę, Bocian 1 – potwierdził Emil.

Tak jak poprzednio schodzili stromo do lądowania. Nad ziemią Emil wyrównał lot i miękko przyziemił, po czym Bocian toczył się jeszcze, aż zatrzymał się w pobliżu żółtego samochodu.

– Ściągnijcie szybko Bociana na bok – usłyszała jeszcze przez radio z kwadratu.

Emil po zatrzymaniu się szybowca otworzył swoją limuzynkę i wyskoczył na zewnątrz, żeby pomóc przepchnąć szybowiec.

– Zostań jeszcze w środku – polecił Zuzannie.

Zuzanna miała okazję zobaczyć pracę zespołową. Przy każdym ze skrzydeł znalazł się ktoś, kto siłą swoich mięśni zmuszał wielkiego ptaka do zmiany miejsca postoju. Zuzanna zaliczyła krótką przejażdżkę po lotnisku i za chwilę szybowiec znalazł się z boku pasa startowego. Emil odsunął limuzynkę II-giej kabiny i zaprosił Zuzannę do jej opuszczenia. Zdjęli z siebie spadochrony i ułożyli na siedzeniach w obu kabinach.

– Podobało ci się? – zapytał.

– Bardzo, ale nie wiem czy sama byłabym w stanie latać – odparła trochę zamyślona.

– A może chciałabyś polecieć na lot zapoznawczy z instruktorem, wtedy leciałbyś w I-szej kabynie, inaczej wszystko widać? – Emil wstrzelił się w myśli Zuzanny.

– A mogę? – Zuzanna popatrzyła na Emila z nadzieją.

– Ja nie mogę z tobą tak polecieć, ale zaraz zapytamy Leszka.

Podeszli do żółtego samochodu, obok którego na stoliku stało radio i Leszek zarządzał lotami. Poczekali chwilę żeby skończył korespondencję.

– Mogłabyś Zuza polecieć na lot zapoznawczy?

– A chce? – Leszek popatrzył na Zuzannę i stwierdzając, że nie jest ani błada, ani przestraszona, po takim długim locie. Rozejrzał się, kto z instruktorów jest w kwadracie.

– Chciałabym – Zuzanna nieśmiało potwierdziła.

– O, jest Arek, to może polecieć. Arek masz pasażerkę na lot zapoznawczy – zwrócił się do wysokiego mężczyzny, siedzącego nieopodal na krzeselku. Tylko poczekajcie aż wróci Puchacz, to będziesz mógł pokazać to, czego Bocianowi nie wolno – uśmiechnął się szelmowsko na myśl o tym, w jakim stanie może wrócić Zuzanna.

Zuzanna popatrzyła na jego minę, ale pomyślała, że po prostu chciał być miły. Nie spodziewała się tego, jakie prawdziwe latanie chciał jej pokazać, mówiąc, żeby poczekała na Puchacza. Zuzanna usadowiła się na wolnym krzeselku, w cieniu samochodu i na chwilę zamknęła oczy.

– Jak cudnie byłoby kiedyś latać z instruktorem Emilem, może nawet przejść całe szkolenie – pomyślała – ale czy zawsze marzenia się spełniają?

Było jej tak dobrze, że aż zapadła w coś w rodzaju letargu. Słyszała rozmowy obok, ale nie chciało jej się otworzyć oczu.

– Zuza, Puchacz wylądował – Emil musnął ręką jej gołe przedramię, a Zuzanna aż podskoczyła na krzeselku – idź do Arka na krótki instruktaż przed lotem, polecicie za samolotem, to trochę inaczej niż za wyciągarką.

Zuzanna popatrzyła nieprzytomnym wzrokiem na Emila. Rozejrzała się dookoła, tak jakoś niepewna, gdzie się znajduje. Ta chwila prawie drzemki trochę ją rozleniwiła. Popatrzyła na mężczyznę, z którym miała odbyć ten lot zapoznawczy i stwierdziła, że ma ładne zielonkawoszare oczy i jest wysoki. I ma taki promienny uśmiech.

– Pani Zuzanno, zapraszam do zapoznania się z Puchaczem – powiedział i uśmiechnął się tak radośnie, że Zuzanna pozbyła się resztek wątpliwości, co do tego lotu. Jego oczy śmiały się również, nie tak jak czekoladowe, zimne oczy Emila.

– Po prostu Zuza – odparła już całkowicie rozbudzona.

– Okej Zuza, zapraszam.

Podeszli bliżej do szybowca. Na boku kadłuba miał wymalowaną nazwę Puchacz. Był smuklejszy od Bociana i Zuzanna zauważyła, że będzie jej łatwiej wejść do kabiny, bo ta była jakby bliżej przy ziemi.

– Zuza, wkładaj spadochron i wsiadamy, holówka już czeka.

Przed szybowcem ustawiał się niewielki samolot, który robił mnóstwo hałasu swoim silnikiem. Miał inaczej zamontowane skrzydła niż te samoloty, które Zuzanna widziała przed drugim hangarem. Skrzydła umieszczone były pod kadłubem. Na boku miał napis Socata.

Emil sprawnie założył Zuzannie spadochron i ściągnął taśmy, zabezpieczając uprząż. Zuzanna podeszła do szybowca i tak jak myślała bez pomocy wśliznęła się na siedzenie, opadając na miękką poduszkę. Arek bez trudu wskoczył do II-giej kabiny.

– Zuza, to jest też dwumiejscowy szybowiec jak Bocian, ale ma zegary w obu kabinach. Przed sobą masz wariometr, który pokaże, z jaką prędkością będziemy się wznosić w metrach na sekundę. Z prawej jest wysokościomierz. On pokaże nam, na jakiej wysokości w metrach będziemy. To na razie do twojej wiadomości wystarczy. Jakbyś kiedyś chciała latać, to będziesz się uczyć o innych urządzeniach zamontowanych w szybowcu.

Nagle usłyszała pytanie Leszka z kwadratu.

– Puchacz gotów?.

– Gotów – odpowiedział Arek.

Podpięto linę od samolotu i podniesiono skrzydło szybowca. Arek zamknął limuzynkę i podniósł rękę.

– NOVEMBER GOLF NAPRĘŻAJ – Leszek powiadomił pilota samolotu, nazywając samolot po imieniu, czyli wywołując jego znaki. A po chwili – NAPRĘŻONA, STARTUJ – przekazał informację, że można rozpocząć start.

Lina zaczęła się naprężyć i szybowiec powoli ruszył. Zuzanna po chwili poczuła, że szybowiec leci w powietrzu, ale nie tak stromo jak za wyciągarką. Przez przednią szybę widziała sylwetkę samolotu holującego. Powoli pieli się do góry, zataczając łagodne zakręty za samolotem. Wskazówka wysokościomierza pokazywała coraz wyższą wysokość. Po kilku minutach byli na tysiącu pięciuset metrach. W pewnym momencie samolot kilka razy przechylił się ze skrzydła na skrzydło, a żółta gałka, wisząca przed Zuzanną, odskoczyła jakby poruszona niewidzialną siłą.

– PUCHACZ WYCZEPIONY – usłyszała głos Arka.

Zarejestrowała jeszcze, że pilot samolotu mówi – SZYBOWIEC WYCZEPIONY – i już nie widziała holówki.

Samolot zakręcił ostro w lewo, zniżając się do lądowania.

– Zuza, jeździłaś kiedyś na karuzeli, która obraca się wokół własnej osi? – Arek nieoczekiwanie zadał pytanie, a Zuzanna zdziwiła się, że coś takiego, w tej chwili, przychodzi mu do głowy.

– Dawno temu – odparła.

– I jak się czułaś? – Arek drażył temat.

– Tak sobie, trochę kręciło mi się w głowie.

– A chcesz zobaczyć, co potrafi Puchacz?

– Jak już tu jestem, to pewnie.

Arek powoli pociągnął drążek, że prawie oparł się na żebrach Zuzanny, a szybowiec zadarł nos do góry, pochylił się w lewo i zaczął się obracać nosem w dół. Ziemia zaczęła wirować przed maską szybowca. Chwilę trwała ta jazda, a Zuzanna czuła, że jej żołądek nie jest w tym miejscu, co powinien. Zaczęła walczyć z mdłościami. Chciała nawet krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Zamknęła oczy. Po chwili coś się zmieniło. Ucisk na żołądek zelżał, za to czuła przez moment, że jej ciało waży chyba tonę. Powoli otworzyła oczy. Szybowiec spokojnie leciał po prostej.

– To był korkociąg w lewo – Arek spokojnie objaśnił.

– Chcesz jeszcze raz? – zapytał.

– To chyba nie dla mnie – odparła cicho – trochę mi niedobrze.

– To lecimy do lądowania – zdecydował – gdybyś potrzebowała, to tam po prawej są torebki na chorobę morską, u nas się nazywa powietrzna.

Zniżali się powoli, aż do czwartego zakrętu. Arek prowadził korespondencję z kwadratem. Zuzanna pragnęła tylko jednego. Poczuć wiatr na twarzy i ziemię pod stopami. Kiedy zatrzymali się przy strzale, odetchnęła z ulgą. Emil pomógł jej wysiąść z szybowca i wyplątać się z uprzęży spadochronu. Poczła chłodne powietrze i położyła się na trawie. Mężczyźni patrzyli na nią z troską.

– Bardzo źle się czujesz? – Emil przejął się jej niedyspozycją.

– Jak tylko świat przestanie wirować, to będzie dobrze – próbowała się uśmiechnąć, ale nie za bardzo jej to wyszło.

– No i koniec moich marzeń o lataniu z Emilem – pomyślała z żalem.

– A może jednak trzeba spróbować jeszcze raz? Pomyślę o tym jutro, jakby powiedziała Scarlett z „Przeminęło z wiatrem”.

Kasia

Samotna

Wiem, że nie jestem sama.
Jest tu wiele głosów z oddali,
Zakłopotanych spojrzeń
Utopionych w szklance piwa,
Kilka rzęs na dopiero co ostudzonych policzkach,
I odcisków palców na spokojnym życiu.

Wiem, że nie jestem sama,
Czasem słyszę chichot losu zza ściany,
Czasem są przecież okoliczności,
Przecież tylko brać i żyć...
Przecież nikt nie broni.

Ja wiem, że nie jestem sama,
Jestem tylko samotna
Jak sosna w świerkowym lesie.

Lubię siebie

Lubię siebie.
Nie dla przyjemności,
Nie za pieniądze,
Nie za mądrze.
Nie za wszystko,
Ani zupełnie za nic.
Nie za ilość od losu ciosów,
Nie za to kim byłam przy tamtym ognisku,
I nie za tą aferę
W wyniku której nastąpiło
Przebiegunowanie naszych światów.
(choć było śmiesznie)
Nie kocham siebie.
(nie ma problemu)

Lubię siebie
Tak jak lubi się świnia w błocie
I kaczka na wodzie
Tak bez przeproszania za istnienie
Bez mydła
Bezpruderyjnie
Lubię siebie
Dla siebie samej
Sobie zielone światło daję.

Trzydzieści lat temu

Trzydzieści lat temu bez mała
Świat był innym miejscem
Bez telewizora
Choć czasem mama pozwalała
Obejrzeć Czarodziejkę z Księżyca.

Świat ten to godziny na dworze
Bez względu na porę dnia i roku
Od rana do nocy
Latem bezlitośnie pogryzione przez owady ręce
Wiecznie zielone kolana,
Zimną przemoczone od zabaw stopy.
I na szybko zjedzony obiad
(Najczęściej chleb z cukrem).

Potem przyszła szkoła i nadała kształt tej beztroskiej wodzie,
Ale woda jest gdzieś ciągle żywa, przeczuwam, tęsknię...
Choć tamtego świata już dawno nie ma.

Bez zmian

W miasteczku bez zmian.
Otworzyły się tylko ciężkie furty złudzeń
Pod naporem północnego wiatru
Przerdzewiały dawno zapomnianymi łzami.
Stoją jeszcze zrujnowane mury
Przepalone pożarem niegdysiejszych namiętności i żali.

Pogrzebane w gruzach ludzkie nadzieje, plany
Kto tam rządził, dokąd zmierzał?
Jest już tylko tynk ledwo trzymający się ścian
Biel, z którą ktoś się rodził, a może i zmarł.

Zmiękły ongiś harde sufitowe bele,
Teraz mieszka tam może jakiś robak.

Niektóre miejsca pomimo upływu lat wciąż jeszcze stoją
Tam chłop pracował na roli
Pradziadek rąbał drwa,
A prababka kryła Żyda,
By nie dosięgła go niemiecka kula.

W miasteczku bez zmian,
Aż do znudzenia...
Choć powstały nowe furty i ściany,
Północy wiatr napiera na podobne złudzenia.

Ptaki nocą

Niektóre ptaki śpiewają nocą,
Bo nocą wpatrzonych pustym blaskiem
Nie widać oczu.

Ptaki śpiewają nocą
Bo nocą wszystko się wycisza.
Czaszka rozłupana cicho się domyka.

Ptaki śpiewają nocą,
Bo nocą spierzchnięte ust półnuty
Wreszcie milkną
Struny słonych łez
Bezszelestnie obsychają
Kiedy tchu już braknie.

Ptaki śpiewają nocą
Bo nocą czasem diabeł uderza ślepo w klawisze
A czasem nadzieje zanuca.

W Krainie Naiwności

W Krainie Naiwności mieszkają dzieci,
Jednak głównie dorośli.
Wyglądają śmiesznie z klapkami na oczach.
Naiwnie myślą, że dobrze jest jak jest
Na zawsze już tak zostanie
Jakoś im się upiecze
Można ich łatwo zrobić w bambuko
Ku diabła uciesze.

W Krainie Naiwności
Żyją ludzie zwykli.
Wieczory spędzają normalnie,
Oglądając ciche zbrodnie
O wszystko ich proście
Bo dostaniecie co tylko chcecie
Oddadzą ostatni okruszek chleba
Sprzedają własną duszę
Sądząc, że tak trzeba.

Tam jest długo i szeroko,
Siedzą rzędami i czekają aż ktoś się zlituje
I dzieci im przypilnuje
Bo rosną w niewiedzy o własnej ułomności: naiwności.

W Krainie Naiwności nie ma miłości

Naiwnie myśli się, że jakoś to będzie, że lat ubędzie
A oni dalej będą siedzieć w rzędzie.
To kruchy lód.
Może stanie się cud?

W Krainie Naiwności wśród ludzi prostych
Bez uczucia
Bez nowości
Żyje się ciężko.
Naiwni wyciągają dłonie przed siebie:
By im pomóc
By ich uwolnić
By ich zrozumieć.

Czekając

Na świt.
Na starość.
Na siebie.
Na swoją kolej.
Na pieniądze.
Na chleb.
Na poniedziałek.
Na właściwą chwilę.
Na własną chwilę.

Nikt się nie rozgląda,
Nie próbuje zrozumieć,
Tylko czeka...

Na autobus.
Na egzekucję.
Na siebie.

Wspólnie czekamy.
Mało kto chce się wyrwać z tej poczekalni.
Nikt nie wie gdzie jest wyjście.

Więc czekamy.
W kolejce, która nie ma końca.

Czekamy na znak od kogoś.
Na znak od Boga, że jest w tym jakiś sens.

(...)przyklejają się do uszu

Przez dziwne, dziurawe widoki zwykłych dni,
Płynę na fali
Płynę by płynąć
By się nie poranić.
Na spokojne wody mojej głowy
Wpływa statek kolorowy.
Gdzieś na dnie paradoks się utworzył.
Statek jedzie po równinie
Na której nic nie ginie.
Tam wszystko sobie leży:
Profesja, talent, muzyka, ruch.
Te dziwne widoki przyklejają się do uszu
I głośno o sobie przypominają
Szumem swych fal i kamieni.
Chciałabym wyrzucić te kamienie
Ale wiem, że i tak nic nie zmienię.

Był raz Delfin wychowany przez ryby
Całe życie się potem trochę tego wstydził.
Niewiele odzywał się szkole,
Dlatego myśleli o nim jak o matole.

Żył sobie w rzeczonym mule
Chodził do żabiej podstawówki zaraz przy młynie
Gdzie jeszcze nikt nie odważył się po prąd popłynąć.
A nasz delfin? Marzył o oceanie.

Ale jak to tak? Dziwił się pan Rak:
Błota u nas wystarczy dla wszystkich.
A ryby Delfinowi powtarzały:
Pamiętaj, że cokolwiek się stanie
Najgorsze na świecie jest powietrzem oddychanie!

Jak wiadomo dzieci i ryby głosu nie mają
Nieważne jak się starają,
Więc przez jakiś czas
Biedny Delfin wstrzymywał oddech na zapas.

Nikt nie wiedział o jego inteligencji i gracji
(oraz o tym, że po kryjomu popalał)
Choć dużo nie mówił, to sporo czytał
Oddawał się też pasji pisania.
Był czas na to dopiero
Gdy rodzina smacznie spała.

On zwiedzał w myślach kolorowe rafy
Ciepłe, odległe wody
Nie nadaremnie
Bo choć przez chwilę było mu przyjemnie.

Delfin wiedział, że rybom już nic nie pomoże,
Stopniowo zamienił rzekę na morze,
I nie ustawał w staraniach
By unikać prądów przybrzeżnych,
Ten nawyk już w nim pozostał na zawsze,
I największym swym pragnieniem
Osiągnął to, co było mu pisane.
Teraz pływa w oceanie,
A ryby zjada na śniadanie.

Beata Janicka

Pułapka

Niecodzienną radością przepelniała ją ta chwila. Rzeczywistość łagodnie smagała ją po twarzy. Dawała znać o sobie, jednak nie raniła. Czuła swoje zatopienie w niej. Miała w tym właśnie, wyjątkowo ją dotykającym, momencie poczucie kontaktu z tym, co ją otacza. Patrzyła na liście krzewów i wydawały się one nią samą. Były wyraźne, miękkie, prawie przemawiające, jakby zniknęła wszelka różnica między jej szorstkim ciałem a delikatną powierzchnią liścia. Jego bezbronność i wyobrażona czułość niemalże podchodziła do niej. Światła latarni odbijały się w jego błyszczącej powierzchni. Ona sama skurczyła się i rozszerzyła jednocześnie do tego właśnie niespodzianego momentu, do tego zatrzymania oddechu. Było w tej chwili coś, czego nie rozumiała, ale coś, co się jej czasem przytrafiało. Poczucie bycia rozpuszczoną. Bez granic. Światło i cień migotały między nią a błyszczą laurowiśnią. Dźwięki spoza stały się prawie niesłyszalne, stłumione i odległe. Dobiegał do niej szum ulicy i pojedyncze głosy. Ale wszystko było tłem. Ta chwila zawieszenia była ich. Nierzeczywista. Nagle ktoś dotknął jej pleców. Tak bardzo nie chciała się odwrócić. Przemknęło jej przez myśl, że nie lubi dotyku. W każdym razie czar chwili przepadł... Odwróciła się i niemalże krzyknęła.

– Joanna, cześć! – jej głos zabrzmiał jak wydobyty z głębin. Miała przelotne wrażenie, że unosi się w wąskim korytarzu, a za nią zamyka się setka drzwi. Jedne po drugich. Trzask, trzask, trzask, a ona pędzi do tego momentu, do tego „cześć”.

Joanna przyjrzała się Laurze. Znały się od lat. Joanna – znajoma z tego miasta, Laura przybyszka spoza. Spotkały się przed laty na jednej z imprez organizowanych przez Laurę. Mały bar, dużo alkoholu, ten sam błysk w oku. Od tamtej pory świetnie im się gada, spędza czas, pije wino, słucha muzyki, rozszepia rzeczywistość na części, aby dociec o co w niej chodzi.

– Przejdziemy się? – Joanna nie czekając na odpowiedź, wsunęła swoje ciepłe ramię pod ramię Laury i pociągnęła ją za sobą. Uśmiech był znakiem zgody, porozumienia i swobodnego paktu między nimi. Obie lubiły te chwile, kiedy razem mogły rozmawiać o tylko sobie znanych sprawach. Językiem, które same rozumiały, o rzeczach, których nie musiały sobie tłumaczyć. Czasem tonęły w nieustającym śmiechu, tym do łez, najlepszym.

Laura poczuła się bezpiecznie, chociaż nie była pewna czy ma ochotę na spacer. Uśmiechnęła się do Joanny i ruszyły wzdłuż uliczki, która rozwinęła się przed nimi. Jej koniec tonął we mgle. W okolicznych domach pojawiały się ciepłe światła. Wieczór stawał się przyjemny. Było ciepło i wilgotno. Wiosna subtelnie dawała o sobie znać. Budziła nie tylko rośliny. Joanna i Laura również czuły rześkie. Ożywcze powietrze przyjemnie wypełniało ich płuca przeszywającym dreszczem nowego.

– To co wieczorna kawa? Czy może trochę rozpuszty? – z zawadiackim uśmiechem Joanna szepnęła Laurze wprost do ucha.

– Zabrzmiało jak początek randki w ciemno. Co chcesz ze mną zrobić? – Laura lubiła to uczucie swobody, która czuła przy Joannie.

– Chodź, opowiem Ci coś niezwykłego albo raczej przerażającego, no wiesz dziwnego...

Laura spojrzała na piękną twarz Joanny. Miała taką przypadłość, małe natręctwo. Uważnie przysłuchiwała się słowom. Słuchała, wpatrując się w oczy mówiącego i usiłowała dostrzec, co inny naprawdę chce powiedzieć. Było coś fascynującego w próbie odczytania albo odsłuchania drugiego człowieka, szukanie klucza do wnętrza. Nieustająco, będąc z góry skazaną na porażkę, albo, w najlepszym wypadku, na niepewność. Jak ona/on/ono naprawdę czuje to słowo, co nim nazywa, jaki świat opisuje. Czasem sama irytująco dopytywała, kazała opowiadać, mówić, precyzować. Sama zawsze szukała nowych,

lepszych słów. Niemniej jednak od pewnego czasu przeczuwała, że słowa, natrętne analizy, stają się zaporą, zamykającą ją w świecie własnych myśli. Czuła też tę wieloznaczność języka, tę jego cholerną ułomność i czasem wołała milczeć. Tymczasem obie weszły na spokojną, oświetloną latarniami ulicę.

Laura spojrzała na Joannę, która poprawiła włosy, naśliniła palec i ujarzmiła brwi. Stanowczym ruchem skierowała je obie do małej kawiarni, przed którą witał gości dogorywający bałwan w zabawnej zielonej czapce.

Wnętrze kawiarni było z tych „na czasie”. Trochę drewna i metalu. Ładne zasłony i wygodne siedzenia. Przytulna butelkowa zieleń. Aromaty jedzenia i magicznych mikstur krążyły między stolikami.

– No to siadaj i najpierw powiedz co u ciebie? – rzucając niedbale kurtkę, Joanna spojrzała przelotnie na zielony lokal. Ładnie – pomyślała.

– U mnie... – w głowie Joanny wybuchł pożar – u mnie, no wiesz. Dusza płonie, ciało śpi. – Uśmiechnęła się za szeroko.

– Lubię tę Twoją twarz, która zawsze zaprzecza temu, co akurat mówisz. A teraz szczerze, jak się czujesz. Wal...

– No... sama nie wiem. Robię to i owo, ale wciąż jakby coś mi umykało, jakbym stała obok. Znasz to uczucie, kiedy budzisz się o trzeciej nad ranem i nieużywane sprzęty przerażają swoją teatralnością. Pustka. Tak właśnie się czuję, jakbym brała udział w marnym przedstawieniu.

Laura długo zastanawiała się, co właściwie powinna powiedzieć. Myślała o tym, co się z nią działo. W zasadzie myślała o tym od niedawna. Dlaczego właściwie nie wie, co się dzieje z jej ciałem. Dlaczego cielesna bliskość kojarzy się jej z naruszeniem granic. Początkowo myślała, że ma dosyć ciała swojego męża. Lata temu coś między nimi pękło, złamało się i oni stanęli po dwóch stronach tej ziejących chłodem rozpadliny. Ale to nie to.

Laura spojrzała raz jeszcze na płąsającego między stolikami kelnera. Joanna szybko nabrała powietrza – złapała Laurę za rękę i dodała:

– Muszę Ci coś opowiedzieć! I coś zaproponować. Bój się kochana... Zabieram Cię w podróż.

Joanna była jak powiew świeżego powietrza i pojawiała się zawsze wtedy, kiedy Laura tego potrzebowała. Sama pędząca, rozstrojona, jakby chaotyczna. Rewers Laury – niezbędny do życia.

Teraz wyjeżdżała ze swojej małej satelitarnej miejsciny do miejsca wskazanego przez Joannę. Czterdzieści minut w autobusie wydaje się barbarzyństwem w pędzącym na oślep świecie. Nic nie robić przez te wszystkie sekundy!

Tymczasem miasto nic sobie nie robiło z ludzkiego pośpiechu. Zachodzące słońce zabarwiało się tego dnia żółtopomarańczowym odcieniem. Przez szyby autobusu widać było horyzont i małe, rozsypane gdzieś domki. W każdym z nich zapewne byli jacyś ludzie – mieszkańcy tych małych wysepek zwanych domem. Być może w którymś z tych domów, jakiś samotny człowiek wpatruje się w ściany, odczuwając duchowe znużenie.

Laura wysiadała z gwarne autobusu. Przez chwilę owładnęło ją uczucie niepewności, które szybko zastąpiła pazerna ciekawość. Za sobą ciągnęła ciężką walizkę. Wyjeżdża tylko na cztery dni. Całkiem niedaleko, ale zawsze z pełnym bagażem.

Biegiem przez tunel, tramwaj i jest na miejscu. Widzi zmierzającą w jej kierunku Joannę.

– Cześć! Poznajcie się.

– Marek – mężczyzna wyciągnął drobną dłoń w kierunku Laury.

– Laura.

Marek miał miękki głos i miękki uśmiech. Było w jego twarzy jakieś pociągające ciepło i coś w rodzaju szlachetności rysów. I, chociaż Laura widziała go pierwszy raz, chciała

tę rozmowę przedłużyć. Nie chciała jednak za dużo wiedzieć o jego prywatnym życiu. On natomiast, jakby na przekór, szybko powiedział jej, że mieszka w dwudziestoletnią córką, trzema kotami, a w soboty zorganizował sobie w końcu pomoc do sprzątanania, która była koniecznością wobec bałaganiarstwa swojego i córki.

Kiedy w milczeniu, szybkim krokiem zmierzali w stronę autobusu, a także potem podczas przyjemnie kołyszącej jazdy autobusem, Laura nie mogła się powstrzymać, by nie spreparować w wyobraźni krótkiej erotycznej historii z człowiekiem, którego być może nie rozpoznałaby ponownie na ulicy. Przez wiele lat narzucała sobie ascetyczny wzorzec, pęta i ograniczenia, dyscyplinę, której nie rozumiała, ale której bała się porzucić. Sama już nie rozumiała, dlaczego i po co, i czego się boi. Jakby zamknięta od zewnątrz w sobie samej, odhaczała dzień za dniem. Bardzo długo właśnie tak było jej wygodnie. Pasowało jej to, a nawet lubiła ten stan, wystarczał jej. Aż do teraz. Od paru dni, może tygodni, jakby zaczęła się budzić i chciała znowu do świata. Trochę się bała, że to chwilowa aberracja w jej zastygłej rzeczywistości. Chociaż w tamtym czasie – czasie osobnym – czuła się jakby dotykała drugiej strony rzeczywistości, jakby snuła się po życiu połączona z czymś większym, a może mniejszym, na pewno różnym. Zdawało się jej, że siedzi w poczekalni, a wokół znajduje się wiele drzwi, a ona nie chce przez nie przechodzić. Teraz chciała wyjść tymi, za którymi znajdzie się znowu w swoim ciele i będzie mogła dotykać i być dotykana, bez bólu. Teraz czuła, że tamten czas był okresem szczególnej, i z jakiegoś powodu koniecznej, hibernacji. Czekala, by przetrwać. Dopiero teraz, kiedy wyszła z domu, kiedy zamknęła drzwi od zewnątrz i zupełnie, bez żadnego zbędnego poczucia winy, wyruszyła w drogę, poczuła, że dawny płomień, który od lat był tylko żarzącymi się okruchami, zaczyna się nieśmiało tlić.

Wysiedli przed wielkim ogrodem, a właściwie był to wielki trawnik. Gdzieś tam stały ogromne drzewa. Sprawiały wrażenie posępnych strażników. Było już dosyć późno. Do furtki podeszła kobieta o twarzy podobnej do kory stojących za nią drzew. Ale jej oczy nie pasowały do reszty ciała. Spojrzenie miała rześkie i przenikliwe, a jednocześnie było w nim coś psotnego i figlarnego. Joanna z uśmiechem spojrzała na kobietę.

– Pani Krystyna?

– Dzień dobry. Krystyna, zapraszam do środka.

Pomruk furtki dopełnił całości. Szli szeroką kamienną ścieżką. Wokół panował spokój. Delikatny wiatr szumiał w koronach wielkich drzew. W powietrzu czuć było bliskość jeziora. Doszli do placu w kształcie koła. Drzwi wielkiego domu, a raczej okazałego zabytkowego dworku, doskonale wkomponowały się w całość. Pięknie! – pomyślała Laura. Chociaż po plecach przebiegł delikatny dreszczyk. Pani Krystyna przeprowadziła ich przez te wrota do wnętrza budynku. Zaskoczyła ich przytulna przestrzeń, która uspokoiła trochę galopująca w stronę gotyckich powieści, wyobraźnię Laury. Był to rodzaj holu. Usiedli na wygodnych kanapach. Rozglądali się i czekali. Nikt nie ośmielił się odezwać. W tej chwili każdemu udzieliła się atmosfera znana z wizyt u dawno niewidzianej rodziny, o której krążyła niepokojące plotki.

Na podłodze ozdobionej mozaiką migotały okruchy świateł ulicznych latarni, które wpadały przez szyby okien. W powietrzu unosił się przyjemny zapach goździków i pomarańczy. Wszyscy nabrali ochoty na ciepłą herbatę. Pani Krystyna szybko wskazała korytarz, który prowadził do pokoi. Wcześniej jednak zaprosiła gości do pomieszczenia znajdującego się blisko holu. Ciepłe światło oświetlało niewielkie pomieszczenie przypominające kawiarnię. Kilka stolików, krzesła obite miękką tkaniną i jeden stolik nakryty specjalnie dla nich.

Laura spojrzała na Marka. Wyglądał na zaniepokojonego, nerwowo złapał się za prawą kieszeń spodni. Szuka papierosów?! – zaświtało Laurze. Natomiast Joanna, zupełnie już wyluzowana, z apetytem chwyciła za sałatkę.

Laura odniosła wrażenie, że Marek ma wielką ochotę wyjść na papierosa.

– Palisz? – zapytała.

– Hmm... jakby to ująć. Już nie, ale czasem mam wielką ochotę.

Rozmowa nieoczekiwanie wartko płynęła do późnego wieczora. Koło północy wszyscy znaleźli się w swoich pokojach. Lekki deszcz stukał o połać dachu, kołysząc wszystkich do snu. Tylko Laura wciąż myślała o tym, żeby wyjść i zapalić. Tylko... może tu nie można. Niemniej ochota zwyciężyła wyuczone w dzieciństwie posłuszeństwo zasadom, jednocześnie budząc radość, którą sprawia ich sekretne łamanie. Cicho wyszła przez okno. Mogła zsunąć się po małym daszku szopy. Sprawilo jej to ogromną radość. Czula się bezpiecznie i ekscytująco jednocześnie. Jak małolata wyskakująca z domu rodziców, a jednocześnie pewna, że zawsze może tam wrócić. Strefa ograniczonego ryzyka, pomyślała z uśmiechem.

Weszła pod daszek szopy i wyjęła papierosa. Czula się wyśmienicie. Powietrze było nasycone wiosennym klimatem, deszcz zrobił swoje. Tak można żyć – pomyślała.

– Mam Cię, niepoprawna palaczko! – szepną jej za plecami zadowolony z siebie Marek.

Laura podskoczyła wystraszona tym nagłym odkryciem jej małej tajemnicy. Od lat, kiedy miała możliwość, lubiła zatrzymać chwilę i skorzystać z tej, skądinąd, fatalnej formy odprężenia.

– Hej. A Ty co tu robisz?

– Poczęstujesz mnie?

– Chyba mogę.

Stali tak przez chwilę, wpatrując się w spadające krople, które łączyły się z wielką kałużą tuż przed ich stopami. Wokół było ciemno, ale czuli zieleń. Dym papierosowy był w tym otoczeniu jak intruz, który wbrew wszystkiemu sprawia szaloną przyjemność.

– Wiesz, ja na ogół nie palę – Joanna próbowała się wytłumaczyć. A po chwili, zupełnie spontanicznie, zaczęła opowiadać – zawsze kiedy odpalam papierosa przypomina się mi moja rodzina, moja babcia, mama, ojciec. A najbardziej chyba to mój brat. Jest ode mnie młodszy. Pamiętam taką chwilę, krótką, wydawałoby się, że nieważną dla całego życia, taką bez której można się obejść. Wiesz, nierozsądną, ale może to jedyny sposób na autentyczność. On wtedy miał lat trzynaście, a ja osiemnaście. I to on uczył mnie palić. I, może to dziwne, brat był zawsze jak powiew czystości w moim życiu, stabilności. Przypominał mi zawsze o czymś bardzo ważnym. Chyba on znał mnie naprawdę, bez tych wszystkich masek, które potem skutecznie nakładałam. Ja miałam za sobą bardzo burzliwy okres liceum, a z nim zawsze się czułam jak dobry człowiek, bez żadnych blizn, niezepsuta, czysta. I to właśnie on, paradoksalnie, próbował mi pokazać, jak się pali. Poszliśmy na starą budowę niedaleko naszego bloku. Chyba uciekliśmy z jakiegoś kolejnego domowego „chwilowego kryzysu”. Wyciągnął paczkę „Lordów” i mnie poczęstował. Miał 13 lat! A ja myślałam, że to ja już wszystkiego w życiu próbowałam. Uśmiechnął i powiedział – tym swoim zawadiackim tonem – Siadaj siostra, co tam? Teraz nie pamiętam o czym rozmawialiśmy, ale to nieważne, było cudownie. Siedzieliśmy na niedokończonym od lat budynku. Znaliśmy te mury na pamięć. Wiesz, taka nieudana inwestycja. Machaliśmy nogami i zaciągaliśmy się petami. Mi szło to bardzo opornie. W rezultacie chyba nawet nie dopaliłam do końca tego swojego pierwszego w życiu papierosa, ale tamta chwila to jedna z tych, które wspominam jako momenty nieokiełznanego szczęścia. Takiego wiesz, do szpiku kości, czystego, niezaburzonego, kiedy nie myślisz o niczym innym tylko o tej chwili, w której trwasz. Kiedy wiesz, po co tu jesteś, czujesz to, że lepiej nie mogłeś trafić. Ale ... przepraszam – Laura podniosła kąciki ust w niezręcznym uśmiechu, ale wcale nie żałowała, że wróciła do tamtego czasu. Pomyślała, że takie historie dopiero po czasie odkrywają swoje znaczenia może właśnie w opowieści.

– Nic nie szkodzi. Piękna noc. Nigdy nie wiadomo, kiedy właśnie spotyka nas taka chwila – powiedział lekko uśmiechnięty, zapatrzony w ciemność Marek, mocno zaciągając się tym małym wehikułem czasu.

Kolejny dzień był jak rollercoaster. Szósta rano była godziną brutalnej pobudki. Matko! – pomyślała Joanna, za co? Wszyscy spotkali się w pięknym ogrodzie przed domem. Słońce weszło przed paroma minutami, uprzedziło niewyspaną gromadkę. Tak... w zgodzie z naturą, to jednak można tylko umrzeć – Joanna przypomniała sobie frazę z jakieś niedawno podsłuchanej rozmowy.

– Kochani! – Krystyna tym razem w wersji fit, dresach, bluzie i szerokim uśmiechem na twarzy, zagrzewała wszystkich do aktywności. – Wasze zadanie przed śniadaniem to samotność albo samość... Może sami znajdziecie nazwę na ten stan. Idźcie na godzinny spacer z sobą. Możecie też biegać, skakać lub po prostu siedzieć. Warunek jest jeden. Milczycie. – Miała już iść, ale po chwili dodała, mrugnawszy do Marka, szczerze się uśmiechnęła – i zero fajek.

Laura deptała ponuro trawnik. Jakoś zupełnie nie miała ochoty na spacer. Właściwie to marzyła o kawie. Nie widziała otaczającego świata, patrzyła sobie pod nogi i myślała trochę o wczorajszym wieczorze. Z czułością pomyślała o bracie. Patrzyła na swoje buty, trzeba byłoby je już wyrzucić.

Tutaj, w lesie, do którego doszła, właściwie trudno było odróżnić, którym zmysłem doświadczała otaczającej rzeczywistości, który żywioł akurat domagał się uwagi. Słyszy wiatr, ten który ją teraz dotyka, pieści po twarzy czy ten, który hula w koronach drzew. A więc słyszy wiatr, czuje jego dotyk czy słyszy szum drzew. Pomyślała o swoim życiu i o tym, kiedy życiowy wietrzyk przemienił się w życiową zawieruchę, kiedy małe przyjemności przepadły, a pojawiła się walka o przetrwanie. Teraz miała ochotę krzyczeć, niespodziewanie łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. No i co kurwa!? – czego jeszcze ode mnie chcecie, nie mam już nic, wszystko wam oddałam – krzyczała w myślach. Nie mam już nic, stoję tu naga. Laura, klęknęła na mokrym poszyciu i przytuliła się do wilgotnej ziemi. Wysoko nad Laurą szumiały drzewa, między liśćmi mieniły się kawałki nieba. Wszystko było odległe. Pobudzone wiosną ptaki dryfowały nad Joanną.

Po śniadaniu wszyscy mieli się spotkać w dużej sali, na której rozpoczną zajęcia. Przedtem jednak czekała ich niespodzianka. Była to medytacja prowadzona przy subtelnym wsparciu mis i gongów.

Joanna, Laura i Marek spotkali się na sali zajęć. Otoczyła ich przyjemna woń kadzidełek, delikatny półmrok, blask rozstawionych gdzieś świec. Krystyna zaprosiła ich do wybrania sobie miejsca do medytacji. Laura poczuła nagłą ochotę oddalenia się od przyjaciół. Siadła w najbardziej oddalonym kącie pokoju. Poczuli się bezpiecznie i, bardziej niż zwykle, zanurzyła się w potoku własnych myśli. Spojrzała na czuły uśmiech Joanny i przymknęła oczy. Po chwili głos Krystyny prowadził myśli po kolejnych miejscach w ciele. Laurze było przyjemnie. Odgradzona od wszystkich wokół, zamknięta w skorupie ciała. No właśnie – Zamknięta! Dlaczego i w czym? O co chodzi? W emocjonalnym wirze, schodzi coraz bardziej do wewnątrz, oddalając się od świata, który ją otacza. Poczuli nieprzyjemne uczucie spadania. Leciała, coraz dalej, coraz bardziej samotna, zaplątana w sieci własnych afektów, myśli i fantazji. Czuli się zaplątani i uwięzieni. I wtedy usłyszała głośnie uderzenie gongu. Chciała już otworzyć oczy, ale nie czuli się gotowi. Wówczas usłyszała perlisty głos dzwonek. One wzbudziły dreszcz w jej ciele. I stało się coś, czego Laura się nie spodziewała. Poczuli, że jej palce wydłużają się, oplatają pokój, Joannę, dotykają czule jej dłoni, skóry na policzkach. Laura czuli, że jest wszechobecna. Przypomniała sobie swoją dawno zmarłą matkę. Pierwszy raz od dawna pozwoliła sobie na przyznanie się do ogromnej tęsknoty za nią. Chciała się do niej przytulić, chciała jej powiedzieć, jak wiele rzeczy nie rozumie, jak czuje się zagubiona. Łzy napłynęły jej pod

powieki i małymi strużkami spłynęły po policzkach. Nagle ujrzała tunel, w którym spostrzegła własną postać, stała tam niepewna i oddalona. Laura wiedziała, że to zapomniana część jej samej. Zbliżyła się do niej, objęła ją czule i znowu stopiły się w jedno. Powoli nabierała powietrza, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Otwierała się, wychodziła z zamknięcia. Jej wyobrażone palce czule głaskały policzki dzieci, przyjaciół, męża. Poczła miękkość własnej skóry, chłód maty, na której leżała, bliskość ziemi. Wzięła głęboki oddech. Oto jestem – pomyślała.

Rozczarowanie

Miała nadzieję, że będzie zadowolona ze spotkania. Tymczasem zaczęły się wkradać do jej głowy wątpliwości. Sączyły się powoli jak trucizna, zatruwając jej poczucie własnej wartości.

Bała się tego uważnego przyglądania się jej przez Niego. Lęk dominował krok po kroku uczucie wcześniejszej fascynacji, związanej z oczekiwaniem na spotkanie z Nim. Czyżby zaczął wreszcie zdawać sobie sprawę z dzielącej ich różnicy wieku?

Bała się, iż patrząc na nią, widzi coraz gęściej przetykane siwizną włosy, coraz mniejsze napięcie skóry twarzy, szyi, dekoltu. Stojąc przed lustrem, i schodząc powoli wzrokiem wzdłuż swojego nagiego ciała, dostrzegała brzuch i pępek – kiedyś ozdobiony cudownie niebieskim kolczykiem w kształcie kwiatka. A teraz na całym brzuchu widać było oznaki upływającego czasu. Wiotczająca, coraz bardziej przezroczysta skóra z pospłatanymi błękitnymi żyłkami. Niektóre były już małymi, rozlewającymi się krzaczkami. To dowód na słabsze ukrwienie niektórych warstw skóry.

Wciąż szczupłe, zgrabne nogi cieszyły ją. Szczególnie lubiła oglądać je w lustrze podczas dobierania kolorystycznie pasujących do ubioru butów na wysokim obcasie. Czula się w nich wtedy szczególnie atrakcyjna.

Ach, jeszcze piersi. Tych akurat nie musiała się wstydzić. Kształtne i ciężkie ładnie prezentowały się w uwielbianych przez nią kolorowych stanikach. Szczególnie lubiła ostatnio czarne i cieliste balkonетки. Każdy dodatkowy paseczek przykuwał uwagę w niewielkich dekoltach noszonych od czasu do czasu.

I znowu obniżenie nastroju po kolejnym spojrzeniu na brzuch. Pamiętała wciąż czasy, gdy był płaski i umięśniony w naturalny sposób, z powodu uprawianej regularnie wspinaczki skałkowej. Niestety, zarówno ten sport, jak i inne, powoli wypadały z repertuaru jej aktywności ruchowych. Choroba autoimmunologiczna wygrywała z marzeniami i potrzebami. Narastający ból nadgarstków nie pozwalał zapomnieć ani na chwilę o nowych ograniczeniach. Pamiętała swoją reakcję na informacje od lekarki, że zastrzyki są dla niej koniecznością już do końca życia. Była to szokująca wiadomość, której nie chciała zaakceptować. Nienawidziła wszelkich uzależnień. Od czegoś lub od kogoś. A przyjmowanie leków uważała za kompletną porażkę.

Kolejna przegrana starzejącego się organizmu z planami dotyczącymi aktywności. Odebranie szansy na ogromne, darmowe dawki serotoniny. Ale najgorsze z tego wszystkiego było uczucie rozczarowania samą sobą. A przecież miała akceptować siebie taką, jaką była. Skąd więc ten niepokój związany z oczekiwaniem na telefon lub smsa? Czyżby jednak zrezygnował z długo wyczekiwanego spotkania?

Obwiniła siebie za zbyt wielką otwartość, z jaką mówiła o uczuciach i oczekiwaniach. Kolejny bohater bojący się silnych, niezależnych i mających wiele do powiedzenia, prawie na każdy temat, kobiet? No cóż! To akurat nie była jej wina, że trafiała zazwyczaj na słabe psychicznie egzemplarze, szukające raczej matki lub opiekunki, a nie partnerki do dyskusji i rozmów. O reszcie nie wspominając. Takie widocznie szczęście silnych, mądrych i ciekawych życia kobiet, iż przyciągają życiowe „gapy”.

Western Tortilla

Usiadła przy czerwonym stoliku w lokalu nawiązującym do tradycji westernowego salonu. Drewniane stoły i krzesła będące ciekawą zbieraniną naprawianych i ulepszanych mebli. Plakaty z kowbojskich filmów pokrywały ścianę centralną. Przeciwną ozdobiono biało-czarnym szkicem banku i salonu. Nad drewnianymi drzwiami do toalety wisiał licznik lajków połączony do facebookowego fanpage'a. Różnorodne lampy osadzone w deseczkach podwieszonych do głównej belki wiszące na powrozach, tworzyły niezapomniany klimat. Wszędzie na ścianach kwiaty pozamykane w podwieszanych klatkach, jakby czekały na samotny występ zza krat. Lawenda upchana była w puszki po groszku i przytwierdzona do drążków otaczających wszystkie krzesła ścisłym łańcuchem. Oparcia i poduszki na ławach i krzesłach wykonane były z worków jutowych. Ich oryginalny, totalnie prosty design przyciągał wzrok od wejścia. Cudne stojaki na butelki zwrotne podkreślały ekologiczny charakter miejsca i jego bycie na czasie.

Obsługującą ją przy barze Ukrainka pomyliła się i nabiła dwa razy cenę bezalkoholowego limonzu. Kolega podniesionym głosem zwrócił jej uwagę, na co zareagowała nieco głupkowskim i nerwowym chichotem. ZAK nie chciała robić zamieszania ze zwrotem na kartę i zaproponowała, że weźmie tę dodatkową butelkę napoju ze sobą na wynos. Obsługująca odetchnęła z ulgą, o czym świadczyły jej powoli rozluźniające się ramiona opadające teraz w dół po kilkuminutowym napięciu. Ominęła ją pewnie afera z kierownikiem.

ZAK siedziała w kąci i z apetytem zajadała rękoma frytki z batatów. Zawsze, kiedy coś jej bardzo smakowało, przestawała używać sztućców. To taki śmieszny nawyk z czasów harcerskich. Maczała bataty w sosie serowym, poleconym przez kierownika w zestawie. Rzeczywiście smak komponował się znakomicie, pieścił jej podniebienie i wywoływał mimowolnie uśmiech na jej twarzy.

Nagle strumień towarzyszących jedzeniu myśli przywołał rumieniec na policzkach kobiety. Ten smak odtąd będzie jej przypominał wczorajszy wieczór. Leżeli wtuleni w siebie na butelkowo zielonej kanapie w salonie. W tle cichutko grała muzyka. Polskie nagrania w klimacie młodzieżowego love story stanowiły zmysłowe tło do ich bliskości. Serce biło jej tak głośno, że bała się, iż A pomyśli o nadchodzącym zawale. Prawdą było, że podniecenie niebezpiecznie podnosiło jej ciśnienie. Udawał szczęśliwie, że nie widzi zmian zachodzących w jej ciele: zamglonych oczu i coraz bardziej przyspieszonego oddechu. Nieprzerwanie opuszkami palców wodził po jej nagich plecach. Fale ciepła przepływały przez dotykane czule fragmenty ciała. Nie potrafiła dłużej opanowywać drżenia. Zaciskała powieki, próbując uciekać przed jego przeciągłymi spojrzeniami. Obserwował jej reakcje z delikatnym uśmiechem na twarzy. Wciąż obawiała się, że zobaczy drwinę w jego oczach. Czyżby naprawdę była tak beznadziejnie spragniona dotyku? Przecież to nie pierwszy raz, kiedy była z nim tak blisko.

Ciało zaczynało oddawać sobie wzajemnie ciepło, wywołując uczucie lekkiego pocenia się na skutek długiego kontaktu. Dreszcze schodziły coraz niżej wzdłuż kręgosłupa szyjnego aż do linii pośladków. Poczwała nagle delikatną wilgoć między udami. Zdradliwe ciało! Podniecenie narastało w niej i powodowało odczucie topienia się w Jego ramionach. Nie miała już dłużej siły udawać twardzielki. Pragnęła objąć jego silnych ramion oraz gorących pocałunków okrywających coraz rozleglejsze fragmenty jej wyzwolonego już z ubrań ciała. Czwała, że za chwilę eksploduje tak długo tłumionymi pragnieniami. A zatrzymał się na chwilę na jej szyi, w okolicach płatka lewego ucha. Jego oddech drażnił jej totalnie czule zmysły. Napięcie ZAK rosło. Już nie kryła urywanego i chrapliwego coraz

bardziej oddechu oraz wciąż nieśmiałych westchnień. Czuła doskonale, że A reaguje na te dźwięki i powoli Jego ciało także ruszało w płas spragnionych siebie dwojga istot.

Nagle szczekanie psa i dzwonek do drzwi przerwał ich cudowny moment. Nie było już mowy o powrocie do szaleństwa sprzed chwili. Brutalna rzeczywistość pukała albo raczej dzwoniła do ich drzwi.

Bezpieczne miejsce

Z powodu braku ruchu w ciągu tygodnia miała zasadę, że weekend przeznacza na intensywny ruch. Zazwyczaj kończyło się na późnowieczornych tańcach w Cubano. Miały rytuał z Żan, że piątek lub sobota to obowiązkowa zabawa w klubie.

Po zmianie zamieszkania ZAK postanowiła kontynuować tradycję i znalazła dwa modne miejsca taneczne w nowym mieście. Jedno z nich należało do młodego biznesmena, którego spotkała podczas poszukiwań miejsca zamieszkania. Trafiła na niego zupełnie przypadkowo, po poleceniu przez innego potencjalnego Wynajmującego. Był to jego bliski kolega. W trakcie rozmowy o „blaskach i cieniach” mieszkania w Opolu wydało się, że ZAK kilka miesięcy temu była dwukrotnie w jego lokalu. Zaczęła zauważać coraz więcej zbiegów okoliczności w swoim życiu opolskim. Jej aktualny Odnajmujący urodził się tego samego dnia, co ona. Jedynie dwa lata wcześniej. Patron ulicy, na której mieszkała, także urodził się 9 sierpnia, ale 60 lat wcześniej. Czyżby kolejny zbieg okoliczności – pomyślała. Zaczęła wierzyć, że wszechświat miał udział w wyborze nowego miejsca zamieszkania. W jej przekonaniu nie mógł być to przypadek, iż pierwsze mieszkanie, do którego weszła, okazało się być jej bezpiecznym miejscem na Ziemi. Azylem, do którego uciekła ze swojego trójmiejskiego życia. Zamiana na mniejsze miasto, jakim było Opole, wzbudzała wiele emocji wśród jej najbliższego otoczenia oraz współpracowników. Niektórzy komentowali ze zdziwieniem, że zmieniła swój status gdańszczanki na opolankę. Jedną z jej nowych koleżanek nadała bohaterce swojej nowej książki, imiennicze ZAK, nazwisko: Opolska. Ta postać także była na zakręcie życiowym i intensywnie poszukiwała swojego miejsca w życiu.

Tylko, czy życie z ciągłymi zmianami, dyktowanymi zasadą przeżywania każdego dnia jako osobnej jednostki upływu czasu, mogłoby być określane jako bezpieczne – zastanawiała się ZAK. W rezultacie postanowiła słuchać swojej intuicji i dokonywać wyborów w zgodzie z samą sobą. Nawet jeśli po drodze miało ją spotkać odrzucenie, brak zrozumienia lub nawet oskarżenie o porzucenie 19 letniej córki. Według „kolorowego” testu osobowości Taylora Hartmana była z pewnością kolorem żółtym. Spontaniczna, komunikatywna, radosna, ale i pewna siebie – czerpała satysfakcję z kontaktów społecznych. Zawsze otwarta i gotowa na nowe interakcje z ludźmi. Niestety, jej słabym punktem bywała wysoka impulsywność i niskie zdolności analityczne. Narządała się przez to na wykorzystywanie jej dobrych intencji. Ostatnio dodatkowo zrozumiała, że ciągle kontrolowanie jej poczynań przez obecnego partnera ogranicza kreatywność i własną wizję świata. Jej osobistą bronią w trudnych sytuacjach było rozładowywanie atmosfery żartami. Była w tym coraz lepsza, dzięki świadomości swojej impulsywności. Kreatywność i optymizm sprawdzały się w ostatnich zawirowaniach, związanych z drastyczną, według jej terapeutki, zmianą jej stylu życia. Ucieczka od najbliższych i poszukiwanie swojego bezpiecznego miejsca miało dla ZAK znamiona eksperymentu, którego nie potrafiła sobie odmówić. Dopiero uzyskawszy wolność i odcinając się od krępujących ją od dłuższego czasu więzi rodzinnych, zaczęła zauważać codzienne drobne przyjemności i cuda w swoim życiu. Przyzwyczała swój pracoholiczny wcześniej umysł, do odkładania pewnych decyzji i działań w czasie, co wprowadzało większy spokój do jej dotąd nerwowego trybu życia. Stawała się

bardziej uważna na wszystko, czego doświadczyła. Chłoneła piękno otaczającej ją przyrody, podczas regularnych spacerów z psami. Przyglądała się drobnym, ale nieustająco pojawiającym się, zmianom w małym ogródku, na trasie spacerów, wokół domu i wśród sąsiadów. Zagadywana, sama także zagadywała spotykanych ludzi, a ci z ochotą dzielili się z nią swoimi historiami. Przypomniało jej to dawno zakopane w podświadomości pragnienie pomagania i doradzania ludziom na różnych zakrętach życiowych. Przecież znakomicie realizowała się w tym w czasach skautowych oraz okresie studiów.

Zapra gnęła wrócić do siebie samej z tamtych czasów. Zdecydowała więc na początek przejrzeć ofertę studiów podyplomowych oraz szkoleń z tego zakresu. Może któregoś dnia otworzy własny, przyjazny ludziom gabinet? Usługi w zakresie doradztwa życiowego i wspierania ludzi mogłaby nazwać, zapożyczonym ze szkolnego życia swojej córki tytułem: „W poszukiwaniu bezpiecznego miejsca”. Postanowiła, że jak Scarlett O’Hara – „pomyśli o tym... jutro”.

Taniec

Od kiedy pamiętała, taniec stanowił bardzo ważny element jej życia. Już jako przyszczata nastolatka realizowała, mimo trudności finansowych, swoje marzenia o kursach tanecznych. Początkowo był to aerobik z elementami tańca w osiedlowym Domu Kultury. W latach licealnych – kurs tańca towarzyskiego w klubie studenckim Kwadrat i egzaminy do Studium Wokalno-Aktorskiego w Gdyni. Zdane. Nie została jednak przyjęta. Aż wreszcie profesjonalne zajęcia z tancerką i choreografką, które zaowocowały zarobkowym wyjazdem tanecznym do Japonii. Była już wtedy mężatką i matką. Jednak jej potrzeba niezależności oraz kreatywności wzięły górę nad poczuciem winy i niechęcią teściów, co doprowadziło do podpisania sześciomiesięcznego kontraktu pracy w klubach w Wakayama i Hadano-shi.

Kiedy myślała o swoim japońskim epizodzie z dystansu 25 lat, czuła, iż to był pierwszy moment, kiedy poczuła kielkujące w jej głowie niezadowolenie z prowadzonego trybu życia w Polsce. Zetknięcie z totalnie inną kulturą życia, ograniczeniami dotyczącymi roli kobiet w społeczeństwie, różnicami w poziomie materialnym i technologicznym pomiędzy tymi dwoma krajami – dały jej motywację do oglądu tego, w czym mało świadomie uczestniczyła. Doświadczyła konsekwencji finansowych, odmowy i nie podporządkowania się zasadom pracy, które dla innych koleżanek były po prostu sposobem na zarobienie dodatkowych środków materialnych. ZAK pozostała wierna swoim zasadom bez względu na brak pieniędzy. Całość wynagrodzenia wynikającą z kontraktu, regularnie wysyłała z japońskiego banku do Polski. Było to w tamtych latach nie lada wyczynem, bez braku znajomości języka japońskiego. Żyła bardzo oszczędnie z pieniędzy otrzymywanych na podstawowe wyżywienie. Ze względu na swoje umiejętności towarzyskie i dobre relacje z koleżankami z Filipin i Tajlandii, miała zawsze okazję zjeść w trakcie pracy. Dziewczynom odpowiadał jej wesoły sposób bycia i dosadzały ją do swoich klientów na cui kashima. Dostawała za to skromne pieniądze, dzięki czemu mogła wtedy swobodnie próbować nieznanych dotąd japońskich smakołyków, na które w normalnej sytuacji nie byłoby ją stać. W taki sam sposób udało jej się niewielkim kosztem zwiedzić Kioto, Shirasaki, Yokohamę oraz zobaczyć słynne onsensy japońskie. Towarzyszyła koleżankom w wycieczkach organizowanych przez ich opiekunów, przyjaciół lub sponsorów. Uczyła się mówić po japońsku, bo to pomagało jej poruszać się swobodnie po mieście, a później miasteczku, w którym mieszkała. Dzięki podstawowym zwrotom była w stanie zrobić zakupy, kupić niezbędne bilety na pociąg lub autobus oraz dogadać się ze spotykanymi podczas tych wypraw ludźmi. Jej ulubionym nauczycielem języka był Matsuda San, stały klient klubu, w którym pracowała w Hadano. Lubił pogawędzić przy szklance uronchaju i pośpiewać

tradycyjne Enki na scenie w karaokę. ZAK miała bardzo dobry słuch i głos. Nauczyła się nawet śpiewać kilka piosenek po japońsku. Do jednej z nich, Sayonara, ułożyła nawet krótką choreografię i przekonała swojego szefa – Sachi, aby zakupił dla niej odpowiedni strój do nowego show.

Japończycy to specyficzna nacja. Lubią słaby alkohol i nie mają mocnych głów. Jedzą słodkie owoce posypane solą. Piją whisky z herbatą. Mają swoje otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę Seven Eleven i Pachinko. Teraz to żadna nowość w erze Żabek, ale w 1996 roku robiło to na ZAK szokujące wrażenie. Automaty z soft drinkami oraz ciepłą zupą kukurydzianą, którą uwielbiała, sprzedawane w puszcze jak cola były dla niej cudem technologii. Piwo i wino było w nich blokowane do zakupu od godziny 22.00 do 6.00. Kontrolowana prohibicja to jedno z wielu ograniczeń, jakie rząd zafundował swoim obywatelom. Społeczeństwo japońskie należy do bardzo zdyscyplinowanych i przestrzegających zasad współżycia. Nadzór kamer we wszystkich zakątkach miast i miasteczek był czymś totalnie niezrozumiałym dla Polki z postkomunistycznego, biednego kraju.

Kontrola sąsiedzka objawiła się pewnego dnia, kiedy mieszkającym w piątkę w mieszkaniu w blokowisku Polkom, zagrożono grzywną za niesegregowanie śmieci. ZAK i jej koleżanki musiały przejść szybki kurs segregowania odpadów w oznaczone kolorami pojemniki. Nikogo to nie dziwi teraz, ale w 1996 roku w Polsce nikt jeszcze nie był w stanie przewidzieć takiej codzienności.

ZAK pisała listy do rodziny bardzo systematycznie, dzieląc się wszystkimi szokującymi różnicami pomiędzy Polską a Japonią. Uzbierało się ich około sto sztuk z ponad sześciomiesięcznego kontraktu. W kartach telefonicznych do międzynarodowej budki telefonicznej zgromadziła ponad tysiąc dolarów. To był symbol jej tęsknoty za najbliższymi pozostawionymi w kraju. Cóż. Musiała zarobić na życie rodzinne w obcym, odległym o 8695 kilometrów kraju.

Obwinianie

„Podejmuje Pani decyzje bez konsultacji z innymi. Po prostu ich Pani informuje”.

„To twój problem. Gdybyś była w domu nikogo nie musiałabyś prosić o pomoc”.

Miała już dość tych komentarzy. Pierwszy raz w życiu czuła frajdę z porządkowania i segregowania ciuchów oraz przedmiotów, które planowała zabrać do nowego domu. Odbierała komentarze najbliższych i terapeutki jako napastliwe. Jakby chcieli ją pozbawić autonomii.

Mimo to proces dostosowywania życia do nowych warunków sprawiał ZAK ogromną radość. Budowała coś dla siebie od nowa. Trudności pojawiające się codziennie były dla niej znakomitym treningiem cierpliwości i dowodem na posiadanie umiejętności adaptacyjnych. Zarówno w życiu zawodowym, jak i rodzinnym oraz społecznym.

Przerwa na jajecznicę z suszonymi pomidorami. Była to dla niej dobra inspiracja. Takie śniadanko na powitanie dnia. Poczwała, że czas zacząć dbać troszkę o oprawę tego, co je. Jedzenie w ten sposób bardziej smakuje. A jak wygląda!

Samotność w miejscu publicznym była dla ZAK ciekawa. Mogła zanurzyć się w swoich myślach i odseparować się filizanką herbaty. Poczwała, że pisanie jest dla niej

ożywcze. Było budzeniem się z marazmu, który długo panoszył się w jej sercu. Dawno już nie chciało jej się chcieć. Teraz miała zastrzyk energii, chociaż kosztowało ją sporo wysiłku zrobienie miejsca na czas tylko dla siebie. Dała sobie w końcu pozwolenie na “swobodnie przepływające myśli, bez chwytania ich i oceniania siebie”. To jej doradzał syn chodzący na jogę. Czyli bez uczestnictwa w kursie jogi doszła do tego. Kasa za kurs zaoszczędzona. Będzie na kolejne buty – zaśmiała się.

To ciekawy temat. Zaspakajanie potrzeb, których deprivacji doświadczyła w dzieciństwie. Łzy pojawiły się w jej oczach. Wciąż była w niej mała, skrzywdzona dziewczynka, którą tata śmiał zostawić – umierając. Wypowiedziała to wreszcie głośno. „Jak śmiałeś mnie zostawić?”

Jej eksperyment z przewodzką wywołał ogromną burzę zarówno w jej domu, jak i na sesji terapeutycznej. Ostatecznie zarzucono jej, iż tak poważny temat nie został przedyskutowany z terapeutką. Ostry sygnał, że to ucieczka, a nie podróż i że to oznacza regres w terapii.

No cóż! Brak było w ZAK zgody na to stwierdzenie. Być może po dwóch i pół roku terapii nadszedł czas na samodzielność i zamknięcie tego procesu – pomyślała. Chociaż, szczerze, nie będzie zamknięcia, bo na to potrzeba czasu. A ona nie chciała go już marnować. Czuła supeł zaciskający się w okolicach jej serca. Ale nie chciała już wkładać pracy w poluzowywanie go. Wolą szybkie cięcia. Nawet jeśli ceną miałyby być ocena, iż to ucieczka. Już jej przestało zależeć na odwracaniu pejoratywnego znaczenia. Bo tak naprawdę to jej życie i jej sprawa – pomyślała. Skoro nie przeszkadzał jej status uciekinierki, to reszta nie była już ważna. Była w niej w końcu zgoda na tę eskapadę.

Chodnik służy do dreptania i biegania, chodzenia i podskakiwania. Czasem sunące po nim stopy toczą palące dyskusje o pogoni za udźcem wołowym. Głowy, choć z perspektywy chodnika są wysoko w górze, trzymają się ziemi i rozkładu jazdy, planu pracy i kalendarza z notatkami.

Gdyby głowy stóp na chwilę się zatrzymały, usłyszałyby rozmowy cichsze, choć nie mniej żarliwe. Pod stopami – ba, nawet podszwami – toczyłyby się rozmowy wielkich pisarzy – Karaluchów, Dżdżownic i Kowali Bezskrzydłych. Gdyby po chodniku stąpały uszy, a nie buty, być może dałoby się słyszeć...

– Wszystko bym chciała! Być sławna i szanowana, lubiana i podziwiana, tajemnicza i szczerą, szczęśliwa i kropka! Świat lepszy budować i czuć, że byt ma sens. Żeby ktoś się uśmiechnął i powiedział: tego mi było potrzeba, gdyby nie twoich słów parę zlepionych w sensory, to nie rozumiałbym tego i tamtego. A ja wtedy powiem: dziękuję, szanowny Panie, teraz mogę spokojnie się umierać.

– Ambitne. Zdążyć przed śmiercią zasiać inspirację i wierzyć, że wykiełkuje z tego dobro.

– Ani to oryginalne, ani zbawienne dla świata. Proszę sobie darować, to już było. Lepiej skupić się na sobie i pisać o tym, na co ma ochotę. Prozaiczną prawdę. O głupotach dnia codziennego. Na przykład o tych wielkich stopach, co zasłaniają światło. My tu o transcendencji, Freudzie i sensie istnienia, a może w tych ludziach jest coś równie fascynującego, wartego opisania.

– Daj pan spokój, panie Dżdżownicu. Ludzie? Oni tylko tup-tup-tup i pęd-pęd-pęd. Nic w tym poetyckiego. Lepiej skupić się na emocjach, pozwolić czytelnikom coś przeżyć. Zapłakać, zachichotać. Zastrzelić.

– Zastrzelić??

– Metaforycznie, oczywiście. Odbyć emocjonalne rozstrzelanie.

– Proszę pana Karalucha, proszę się okiełznać! Znamy pańskie masochistyczne zapędy, nie trzeba w to mieszać sztuki pisania. Pisanie zostawmy dla wrażliwych serc, które filtrują rzeczywistość i tak ładnie bajają, że aż chce się wierzyć. Rozpalają ogień w kominku naszych wnętrz i ciepło słów otula nas pluszem.

– Konformistyczne podejście, muszę rzec. Sprzeciwiam się takim postawom. Uważam, że wszystkie wysoce funkcjonujące robaki mają obowiązek pochylić się nad braćmi mniejszymi – cóż, może ciężko znaleźć istoty jeszcze mniejsze od nas – ale nie w tym rzecz! Rzecz w tym, byśmy brali społeczną odpowiedzialność na nasze pisarskie barki i dawali głos tym, którzy krzyczą zbyt cicho lub już nie mają siły krzyżeć. Których zdeptał but rzeczywistości wielkiego człowieka.

– Oczywiście, to cel szczytny. Ale jak pisać w imieniu wielu, skoro mamy tylko własne? To trudne, to zagwozdzka. Ja nie śmiałybym mówić, że coś jest zielone, jeżeli ktoś inny choruje na daltonizm i widzi czerwone. Tak poróżnił się cały nasz gatunek Koników Polnych. Trawa zielona! Trawa czerwona! Teraz każdy z nas żyje samotnie, hopsamy po trawach, a z rodziną spotykamy się tylko na święta. Wszystko przez genetycznie dziedziczony daltonizm. Czuję przez to ogromną samotność...

– Przykro mi, Koniku Polny. Szalenie inspirująca kobieta, którą spotkałem na salonach, powiedziała mi ostatnio: to w pisaniu odnalazłam przyjaźń. Wiesz? Z piórem w odnózu zupełnie nie jesteś sam, masz siebie! A bez pisania bardzo trudno siebie mieć!

Na to dało się słyszeć pukanie, albo nie – trudno powiedzieć, bo w tej bajce nikt nie wymyślił, jak na scenę wchodzi siwy mędrzec.

W każdym razie, wkroczył Kret. Stary pisarz, który od pisania po nocach oślepl.

– Dzień dobry, ja przyszedłem umrzeć. Może nic nie widzę, ale słyszę doskonale. Trudno byłoby przejść obojętnie wobec takiej rozmowy. Ale – pozwolę sobie wtrącić – czy jest sens w zadawaniu pytania: po co pisać? W waszym wieku ja również nie mogłem opędzić się od

analizy. Jestem ciekawy, czy dziś pisze się z innych powodów niż dawniej. Rzecz w tym, że poza myśleniem trzeba też czuć i rozumieć te uczucia. Ja wydałem sporo książek – oczywiście że tak, czemu nie, zawsze chciałem. Może jestem stary i ślepy, ale jeszcze nigdy nie drążyłem podziemnych korytarzy z takim spokojem. Wiem że niedługo umrę i nawet się cieszę. Tworzyłem, co chciałem. Pisałem o pączkach wypełnionych sensem życia i o Freudzie, który lepił pączki. Zainspirowałem tych, co szukali inspiracji, obroniłem tych, którzy zgubili swoją tarczę, roześmiałem i rozplakałem parę oczu, napaliłem w kominku wielu robaczych serc i zaprzyjaźniłem się ze sobą, zlepiając swoje wnętrza słowami. Wszystko to robiłem w zgodzie z moją krecią naturą i żadne pochlebne listy ani groźby nie były w stanie mnie powstrzymać. Co więcej mógłbym z życia wycisnąć? Może zacznę nagrywać podcasty? Nie. To musi mi wystarczyć. A teraz... do meritum...

W ostatnim akapicie Kret dramatycznie umiera w światłach reflektorów. Głowy ludzkich stóp – zdaje się – nawet tego nie zauważyły. Natomiast pisarze robaki ten dzień ustanowiły świętem państwowym. Honor nakazał im zapoczątkować tradycję lepienia pączków, które w ramach uczczenia dobrego imienia zmarłego pisarza otrzymały nazwę Kretyńskich Pączków.

Bajka dla uczestniczek kursu napisana przez **Annę Jakubiec**

Krąg Wiedźm

Cztery kobiety siedziały w salonie wokół kominka w wygodnych fotelach. Ich twarze pokryte drobnymi zmarszczkami, przebarwieniami i pajęczkami od popękanych naczynek zdradzały słuszny wiek. Ale ich oczy, te ciemne i te jasne, były pełne blasku. Były spełnionymi kobietami, Wiedźmami.

Kiedyś, dawno temu, spotkały się na warsztatach Twórczego pisania i to odmieniło ich życie. Odtąd celebrowały rocznice zakończenia warsztatów, spotykając się w coraz to innym miejscu. Ta rocznica była jutro. Miały do nich dołączyć młodsze koleżanki, które również uczestniczyły w tych warsztatach.

Teraz z filiżanką jakiegoś zielonego, wzmacniającego napoju w ręku rozmawiały o kolejnych projektach wydawniczych. Ich wydawnictwo założone dwa lata po pierwszym spotkaniu rozwijało się coraz lepiej, przynosząc każdej z nich pokaźne zyski.

Książki, które oferowały, głównie kobiecej części społeczeństwa, rozchodziły się jak świeże bułeczki. *Tajemnice Laury* napisane przez Beatę przekroczyły milion lajków, czyli punktów zainteresowania i zbliżały ją do osiągnięcia statusu złotego opowiadania. *Bezdomny* Zuzanny doczekał się filmowej adaptacji. Zresztą Zuza jako konsultant wersji filmowej świetnie sprawdzała się w tej roli. Była również niezastąpioną menadżerką wydawnictwa. Zapewniała marketing w każdy możliwy sposób, co rozslawiło firmę również poza granicami Rzeczypospolitej. Biegle mówiła w kilku językach, co ułatwiało kontakty z sieciami dystrybucji. A jej urok osobisty zapewniał, że negocjowała takie warunki, które były korzystne dla każdej z nich. Beata i Agnieszka czuwały nad korektą książek, dopieszczając każdą z nich przed wydaniem. Agnieszka przygotowywała również wiele poradników, które wykorzystywali początkujący adepci pióra. Ostatnio pracowała nad sztuką, którą zamierzała wystawić w zaprzyjaźnionym teatrze. A Anna zajmowała się produkcją i pisaniem tych swoich wspomnień z powietrza i wody.

– Jutro dziewczyny przywiozą swoje nowe opowiadania – Agnieszka zamyśliła się na chwilę – te dwadzieścia lat to szmat czasu, a one mają ciągle to nowe pomysły.

Pozostałe Wiedźmy pokiwały głowami.

– Zuzia napisała już kolejne opowiadanie o tej trzeciej młodości, a Ola stwarza taki futurystyczny świat, że jest lepsza od Lema – Beata zdradziła tajemnicę koleżanek.

– A Kasia wymyśla takie wiersze, że powinna zostać wpisana do rejestru wybitnych poetów – wtrąciła Anna.

– Magda wydaje już chyba piąty tomik bajek, tylko ciągle się boi wydać tę powieść opartą na własnych doświadczeniach – Agnieszka skomentowała dokonania koleżanki – może tym razem coś przywiezie? – Nasze roboty wydawnicze Rajt i Kopi będą miały co robić – podsumowała.

To już były zupełnie inne czasy. Korektę i łamanie przeprowadzały wyspecjalizowane roboty, ale trzeba je było nadzorować, w czym świetnie sprawdzały się Agnieszka i Beata. Nikt już nie drukował książek tak jak kiedyś. E-booki i audiobooki były wszechobecne. Były nawet książki do jedzenia, na cienkich krążkach pszenicznego lub ryżowego papieru. Takie krążki kupowali szczególnie młodzi, dla swoich ukochanych, z okazji Walentynek.

Każdą z tych produkcji zajmowały się sieci komputerowe, wspomagane sztuczną inteligencją. Zresztą roboty weszły do codziennego życia, w konsekwencji rozwoju technologii sztucznej inteligencji. Najbardziej poszukiwane były te sprzątające i gotujące, bo zapewniały, że ludzie mogli uwolnić się od tych nudnych prac domowych, które zajmowały im dużo czasu. Oczywiście, kogo było na to stać, wynajmował lub kupował robota do pilnowania małych dzieci oraz te najdroższe typu gospodyni domowa.

Dziewczyny miały kilka takich robotów w swoim wydawnictwie. Właśnie jeden z nich pojawił się w drzwiach salonu.

– Ką-piel dla wie wie wie-dźm przy-go-to-wa-na, po-ściel świe-żo na-tle-nio-na i ma-sa-że-ry roz-grza-ne – zakomunikował.

– Albercie, mógłbyś wreszcie się nauczyć, Wiedzmy to my – Anna uśmiechnęła się, poprawiając robota.

– Tak psze pani wie wie wiedz-my.

– Wiedzmy Albercie, od słowa wiedza – Anna była konsekwentna.

– A, wiedza, wiedz-my – już prawie poprawnie powtórzył robot.

No dziewczyny, teraz małe przyjemności, kąpiel z masażem – Agnieszka poderwała się z fotela – a potem spać. Jutro mamy intensywny dzień.